

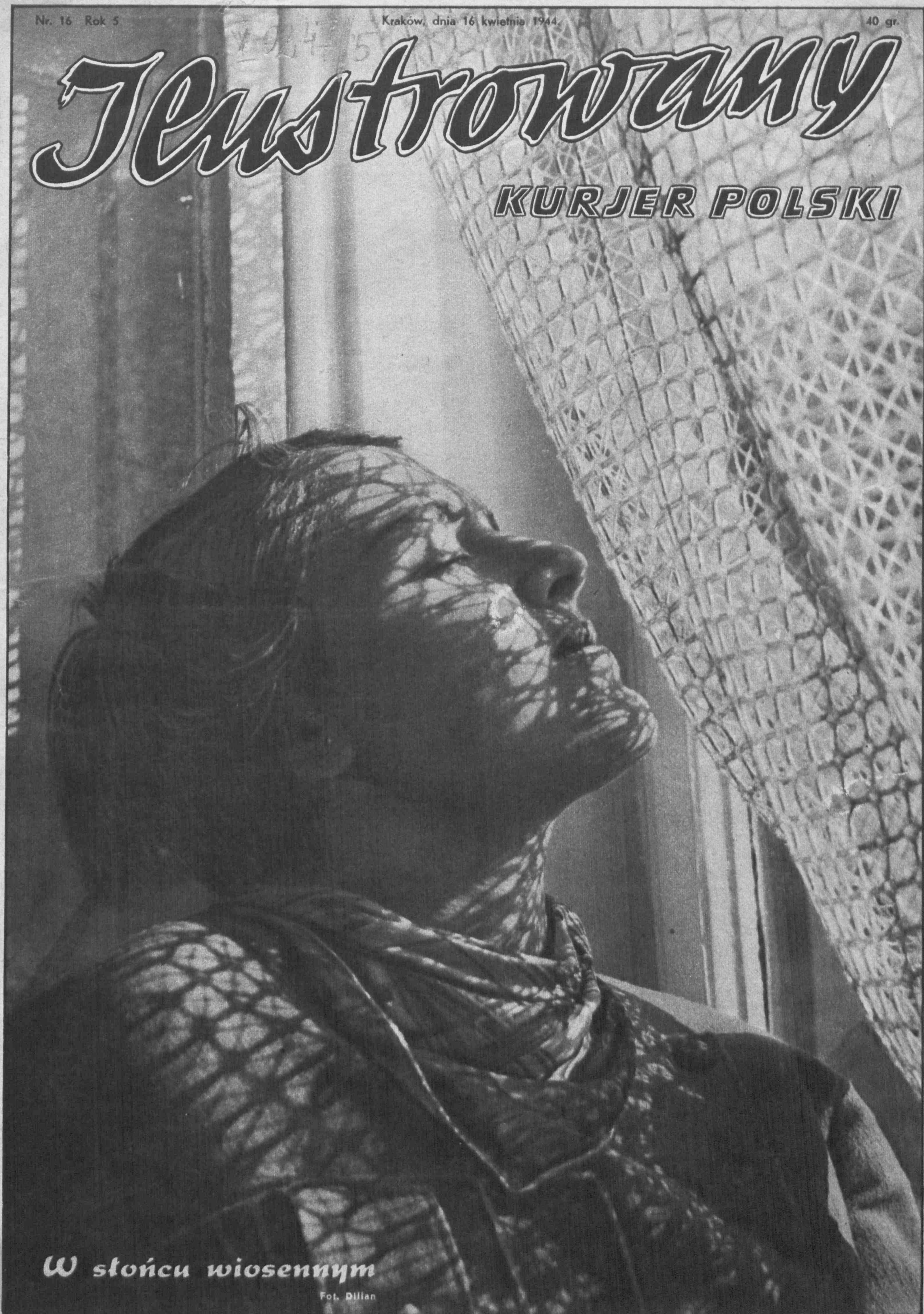
Nr. 16 Rok 5

Kraków, dnia 16 kwietnia 1944.

40 gr.

JEWSTROWAMY

KURJER POLSKI



W słońcu wiosennym

Fot. Dillan



Pomysł
Szybko płynąc zbliżają się wozy-amfibie do brzegu. Strzelcy chwytają już za broń, by, skoro tylko koła wozu zetkną się z twardym gruntem ziemi, natychmiast wyskoczyć na ląd i zająć dogodnie stanowisko ogniowe.



Na lewo:
Rolli, pies należący do kompanii pływającej ze swym panem aż do łożyska rzeki, później jednak zawrócił. Kilka kamieni rzuconych w wodę skłoniło go jednak do skoczenia jeszcze raz w zmiętą falę.

Nawet:
Na jednym z pierwszych wozy-amfibie, które już dobiły do przeciwnego brzo-
gu rzeki, przepłynął łącznik oddziału wraz ze swym mo-
cyklem.

Jawo:
Płynięcie i silnie ramulony od-
pływ wielkiej raki przekracza
łatwość wóz-amfibie.



Na prawo:
Również i na lądzie
wóz-amfibie jest bar-
dzo dogodnym środ-
kiem lokomocji wojsko-
wej ze względu na swą
szybkość i zdolność do
jazdy po każdym tera-
nie. Na zdjęciu widzi-
my wóz-amfibie po wy-
ładowaniu. Błyskawic-
nie zaskakuje żołnierze
z wozu i pieszę, by
wyszukać sobie jakąś
celoną do walki.

Poniżej:
Karabin maszynowy jest
podczas jazdy, każdej
chwili gotowy do strzału,
gdyż zabezpiecza on
przeprawę oddziału.



Na prawo:
Dowódca oddziału wyszukuje do-
godną pozycję dla karabinu ma-
syzynowego i daje rozkaz strzel-
com, by skierowali ogień na po-
zycję nieprzyjacielską.



WOZY-AMFIBIE PODCZAS CWICZEN

Waższe armatę prąży wciąż huraganowym ogniem brzeg rzeki
przez wroga, choć trzon silnie nieprzyjacielskich wycelował się
na tereny dalej położone, a pozycje na przyczółku utrzymują
jeszcze tylko słabsze oddziały ubezpieczające. Ponad wodą unosi
się nieczarna mgła, silnienie wytworzone przez młotacz i zasowa
błyskawic nieprzerwaną rasłoną, uniemożliwiając obserwację nie-
mieckich stanowisk. Następuje najdogodniejszy moment do ataku
na wroga. Pada rozkaz: Wozy-amfibie przepłyną się przez
rzekę! Zrzucenie i spryskanie, jak statków, skaczą żołnierze na woz
dotąd ukryte w zaroślach przybrzeżnych, rozlega się warkot mo-
torów puszczonych w ruch i wozy zjeżdżają jeden za drugim po stró-
żym brzegu rzeki do wody. Szaro tylko kula strzeliły twarde grun-
ty, szufla łaczynąją prąd wody i wóz, co dopiero toczący się po
falnie, zamienia się w łódź płynącą warkot po wodzie. Oddziały
motocyklistów ładują pierwszą żołnierze z trudem stryżyną ręk-
awicę jako po grząskim gruncie na swych motorach, które prze-
wieźli również na wozach-amfibie. Teraz dopiero otwiera ogień
nieprzyjacieli. Na wodę sygnie się grad pocisków, świat granatów
przepryska powietrze. Odpowiada im niemiecka brzo-
stępnicy karabiny maszynowe biorą na cel obiekty nieprzyjaciels-
kie, a kierowcy wozów-amfibie wypatrują dogodnie miejsca do
ładowania. Już przednie koła zjeżdżają się w mule przybrzeżnym
i pierwszy grenadier skaczą w wodę sięgającą do kolan, a nastę-
pnie brodaty w mule wpinają się na brzeg strzelając równocześnie.
I w końcu, w walce wręcz niszczy wroga. Wzrosty już wozy-
amfibie dobiły do brzo-
gu. Niejedną z nich padł ofiarą zastępy obrony
nieprzyjacieli i niejedną utknął w grząskim szlamie przybrzeż-
nym, ale większość wyładowała szczęśliwie i walczy. Po krótkim
zmaganiu się nieprzyjacieli zostaje odrzucony. Rozkaz wykonano.
Raz jeszcze szybko wozy-amfibie złożyły dowód swej użyteczności.

AMFIBIE PRZECHODZĄ RZECĘ

KULA ZIEMSKA

ubiera sukienkę

Dzisiejsze czasy skłaniają nas do częstszego niż zazwyczaj interesowania się nie tylko mapą, ale też kulistym „facsimile” naszej pocziwej, starej Ziemi, znanym pod ogólnie przyjętą nazwą globusu. Sino-niebieskie połacie mórz i oceanów, bezmiar pustyni Afryki, przestrzenie Azji czy szlaki Ameryki — to wszystko „jakoś inaczej”, bardziej interesująco nawet, wygląda na globusie właśnie. Hm, a wie ktoś, tylko tak naprawdę, bez cygaństwa, jak wyrabianymi bywają fabrycznie globusy? Najpierw więc muszą powstać zasady i kształty fabrykowanych

Na prawo: Rozcinanie na części zadrukowanej mapy świata.

Powyżej: Różnej wielkości globusy opuszczają warsztaty, a każdy z nich jest kompletną miniaturką naszej planety.

Na prawo: Naklejanie mapy świata na kulę z tektury. Zajęcie to wymaga dużej staranności, gdyż poszczególne części mapy muszą jak najdokładniej odpowiadać sobie.

Poniżej: Kula ziemiska w miniaturze.

„światów”, czyli kule. Ba! To nie idzie tak prędko, jakby z rękawa wytrząsnąć... Olbrzymie kładzie z papką powstałą z odpowiednio na ten cel przygotowanej tektury są pierwszym „elementem twórczym”. Gdy papka zgęstnieje odpowiednio, wlewa się ją do specjalnych form, aby pod działaniem maszyn wytłaczających otrzymać z niej „surowe” półkule z masy papierowej. Półkule takie, zespolone kołają rzeczy z sobą, dają

j u z

„ziemski glob” ale... z kształtu na razie tylko. W odpowiedniej podziałce do wielkości danej „kuli” narysowaną mapę, trzeba przerysować, by można ją było pociąć na paski wzdłuż stopni długości geograficznej, a potem jak najprecyzyjniej naklejać na kulę. Następnie powleka się globus przezrystą, szklaną substancją, nadającą mu połysk i chroniącą naklejoną mapę. Na punktach biegunowych globów wierci się otwory i przez nie przechodzi pręt metalowy, ziemską idealną oś, umocowana w półkolistym wygięciu stojaka. Na biegun północny nakłada się przezrystą płytkę merydianową z podziałką godzinową i teraz ześrubowany globus dopiero jest gotowy do użytku.

W związku z najnowszymi komunikatami podawanymi w gazetach, starzy i młodzi studiują globus, by zorientować się co do położenia miejscowości aktualnych w danym momencie.

Fot: Sedlar

Wśród ustawionych w kącie kilku, nierozkorkowanych nawet flaszek, znalazł jedno stare, dość wytrawne Cherry a nie znalazł czerwonego burgunda, który pijało się zawsze u Eweliny. Bateria nie pochodziła więc z zapasu Wichertów...

Brunona coś tknęło:

— A... pani mi wybacz niedelikatność... czy pani Ewelina wyasygnowała pani tak znaczną kwotę, żeby...

Dziewczyna zmieszała się widocznie. Cień rumieńca wypływał od skroni ku policzkom. — Niech pan będzie spokojny. Jeżeli nawet suma, powierzona mi przez panią Wichertową na te wydatki, nie wystarczyła na wszystko, zaliczę pani Ewelinie do rachunku. Pani Wichertowa obiecała mi poza tym pewną pomoc finansową za tę przysługę wyświadczoną państwu...

Od początku nie wyobrażał sobie tego inaczej. Ale co go zmroziło... tej kobiecie płaci się i za gościnność i za stracony czas i za każdy miły uśmiech... Jak kelnerce z restauracji... Czegoż chciał? Czego się spodziewał? Dlaczego myśli o tym miała wpłynąć na jego humor?...

Nie mógł dopuścić, żeby Ewelina pokrywała koszt całej tej niefortunnej przygody... A mała, sprytna osóbką Bóg wie co jej policzyć w rachunku!... Taka wystawna, niepotrzebnie kosztowna kolacja...

Chciał dyskretnie położyć na komodzie zwinięty papierek stułotowy — ale niewiedomo dlaczego zbudziła się w nim dziwna chęć sprawienia przykrości towarzysze, wywołania znowu rumieńca na bladą twarzyczkę:

— Pani pozwoli, że sfinansuję... Przecież do mnie raczej powinny należeć koszty...

— Ale pani Wichertowa...

— Och! Pani Wichertowa nie będzie miała o to pretensji, że się jej zaoszczędzi wydatków — powiedział. Znal piękna bankierową i jej rozkoszny pęd do oszczędności... — tutaj położy sto złotych...

Zmłczała. Nie powiedziała, że za dużo. Powieki przykryły oczy i zadrgały jakby spłoszone szelestem banknotów.

— Czy pani, że wie?

— Naturalnie, nie znam, kto pan jest. Znam pana książki i jestem dumna, że mogę przyjąć pana u siebie. Ale u mnie tak brzydko. Myślę, że jednak tu przyjmij, zaciśnij i bezpiecznie, aniżeli w szafie, gdzie według wszelkich prawdopodobieństw ukryła pana pani Wichertowa przed szpiegującym małżonkiem...?

Uwaga była dość śmiała, poufała, ale nie zdawała się być taką, rzucaną swobodnie z czarownym uśmiechem. Ale ma tupet ta mała!...

— Bez względu. Jesteśmy oboje z panią Wichertową bardzo zobowiązani wobec pani. Ale sprawiliśmy pani tyle kłopotu... Widzę, że pani śpiąca a tu nieproszony gość siedzi.

— Trudno! Jest tylko jeden pokój. Zresztą mnie to, przynajmniej, bawi. Ten detektyw, śledzący pana jest moim znajomym... i zostanie wywieziony w pole. Obiecywał sobie tyle zarobków i awansów z chwilą, gdy dostarczy Wichertowi dowodów obciążających małżonkę. A tymczasem ja a nie on zarobię na tym.

Znowu odczuł przykrość. Nie rozumiał.

— ...no i bardzo się naprawdę cieszę, że pomagam państwu.

— Jest pani nieocenioną sąsiadką. Czy może jest pani przyjaciółką pani Wichertowej?

Chochlik łobuzerskiej wesołości przełknął po twarzy kobiety:

— Bynajmniej.

Małe słówko kazalo się zastanowić nad tonem, jakim zostało wypowiedziane. Było jakby pełne wymowy...

A potem dorzuciła z dziwnym uśmiechem:

— To nie kaprys z mej strony. Chciałam przez to coś osiągnąć... Dla siebie.

„Myśli pownie o pieniądzach — Ewelina obiecała na pewno jej to dobrze wynagrodzić”. Zastanowiło go teraz co innego:

— Czy nie będę zbyt zuchwały, gdy spytam o pani imię?

Zagadka

napisana Marianna

— Iwonka — odpowiedziała znowu jednym tylko słowem. Ale dźwięk rzadkiego, oryginalnego imienia zabrzmiał tak słodko i miło. Smukła, młodzieńcza dziewczyna z wielką zmierzwiąną czuprynką roztopionego złota nad czołem, właścicielka mądrych, pogodnych oczu i tego maleńkiego, zimnego nieszkania — nie mogła nazywać się inaczej.

Pochyliła się do kominka, w którym przedtem rozpalila ogień. Czerwone, skaczące płomienie rzuciły jaskrawy odbłask na delikatny zarys profilu. Bruno nie chciał analizować wzruszenia jakie nim owładnęło... Podniósł się bezszelestnie i zbliżywszy się do komody obok stułotowego banknotu położył jeszcze dwa takie same. Nie wiedział, co za impuls kierował tym jego krokiem? Może to w podzięce... a może podświadomie zaczął sobie coś obiecywać po tym dziwnym wieczorze?

— Ciekawam, co będzie pan sądził o mnie? — spytała sennie, jakby sama siebie dziewczyna ciągle pochylała ku ogniovi.

Czy usiłował to sobie tylko wmówić — czy naprawdę w tonie jakim zwracała się do niego była nuta jakby kpiny, ukrytej drwiny, może tylko przekomarzania? Było to w każdym razie zastanawiające — — — drażniące. Niewytłumaczalne.

— Nie wiem — po chwili Bruno odpowiedział na jej pytanie.

Nie wiedział nic o tej dziewczynie. Kim była? Jaką była? Coż sądzić mógł o niej? Ledwo opanował chęć, by nie podbiec, nie wziąć w ramiona i zmusić do wytłumaczenia i tego uśmiechu i całego jej wobec niego zachowania!

— Powinien pan być powiedział mi konieczne coś miłego na to moje pytanie. Przecież to była jawna prowokacja na komplement. — Oczywiście ku niemu usiłowały być wyzywające, może nawet oburzone... i były tylko figlarne i uśmiechające.

— Sama pani wie, że jest czarującą osobką — zaczął Bruno zupełnie osmielony, poufale kładąc dłoń na maleńkiej jej rączce.

— Jakis pan przyszedł — zameldował przez drzwi głos kobiety.

Iwonka zerwała się — — — znowu uśmiechnęła.

Popatrzał na nią zaskoczony: — Wichert? — Na pewno nie! — powiedziała przekonująco. Była najzupełniej spokojna.

Cesała włosy przed komodą. Gdy odeszła do drzwi — zauważył, że pieniędzy nie było już na niej.

Jakis mężczyzna był w przedpokoju. Bruno nie mógł dostrzec kto, bo za drzwiami było ciemno. Czuli, że on sam siedząc w oświetlonym pokoju jest widoczny dla obojga. Rozdrażniło go to. Odsunął się z fotelem bliżej drzwi. Usłyszał co mówiono:

— Mam wizytę — powiedziała dziewczyna z proga.

— Co? Nie uwierzę! — dźwięk męskiego głosu był mu jak gdyby znany.

— Przekonaj się, zobacz, jak nie wierzę! Teraz idź stąd jak najprędzej! Nie przeszkadzaj i nie szalej z zadrzoci! To jest Bruno i to powinno wiele ci tłumaczyć.

Zamienił jeszcze parę słów, czego już dosłyszeli nie mógł. Gwałtowne trzaśnięcie drzwiami (może z pasją?) i dziewczyna wraca bez słowa tłumaczenia na swój fotel przy kominku.

... To był ten drugi... Widocznie codziennie mała Iwonka urządziła u siebie wizytę zarówno dla znajomych, których mogła w danym wypadku wyprosić od drzwi — i dla nieznajomych, których przyjmowała wykwiną, na ich koszt kolacją. I ten cynizm jej słów! Tylko dzięki temu, że jest słynnym Brunonem, powieściopisarzem i nazwisko jego jest magiczne nawet dla rywali — dlatego tylko ma tu te przywileje i nie on, a ten drugi musiał odejść!

Kobiety zawsze są takie same. U Eweliny spotykał się z tym również. Przejął przywileje i prawa po sławnym rzeźbiarzu Larkorzu, który malował naprawdę udatne akty pani Wichertowej, a na pewno następcą Brunona będzie ten jakiś kompozytor Majerski. A jeszcze w międzyczasie nieraz padało nazwisko tenora Sabasti i kto wie? Taką właśnie była Iwonka. Odgadł ją z jednego powiedzenia. A przed chwilą wszystko wydawało się takie niecodzienne, inne, niż się okazało.

— Kto to był? — spytał ostro, napastliwie. Rzucił mu dziwne a nieobecne, zdziwione spojrzenie:

— Czy do mojego dziś obowiązku należy także drobniagowe zdawanie sprawy z mego życia prywatnego? Może raczej pana tu u mnie obecność domaga się tłumaczenia dla innych osób? — była zirytowana tym jego pytaniem.

— Ma pani bezwzględna rację. Przepra-

szam — cofnął się zły na tą swoją dzisiejszą niewytłumaczalną nadwrażliwość — pani naprawdę naraża przeze mnie swą opinię! Taka męska wizyta w pani mieszkanku nocą.

— Nie dbam zupełnie o swoją opinię — rzuciła krótko.

O! Jeszcze lepiej! Przynajmniej szczerza. — Czy nie przepłacił całej przyjemności wykładając z portfela trzysta złotych? Uwzględniając nawet kolację na dwie osoby, płaci się przeważnie taniej za taki wieczór u podobnych kobiet — delikatnie mówiąc — „niedbających o opinię” — — —

Jakże musiał zdawać się jej naiwny, gdy chowała wyłożone banknoty.

— Żebym nie zapominał o zleceniu pani Eweliny. Prosi, by zaniechał pan na kilka dni wizyt u niej a także telefonów i wymieniania korespondencji. Kiedy pan tylko zechce i uzna za stosowne, proszę stąd wyjść, drzwi nie zamknęłam na klucz. Proszę dość hałaśliwie zachowywać się na schodach, bo piętro niżej na pewno czekać będzie ten detektyw a chodzi o to, by wyraźnie zobaczyć z jakich pan drzwi wychodzi. Klucz od bramy pan ma.

— Pani jest senna, Iwonko?

Uśmiechnęła się zagadkowo.

Myślał, że zrozumiał znaczenie tego uśmiechu, gdy powiedziała cichutko:

— Niech pan zgasi światło. Razi oczy.

To było pospolite. O to miał do niej żal. Że tak, jak każda z takich.

Przekreślił kontakt. Poczuli się niepewnie. Coś dziwnego było w tej sytuacji, w tej dziewczynie... choć trzeźwość i jego znajomość kobiet przekonywały go, że wszystko jest najzupełniej zwykłe.

Złote iskry lśniły w ciemnościach na włosach milczącej kobiety. Zdawała się być jakąś niezmierną zjawą, marzeniem wysnionym gwiazdą nocą, nierealnym zwidzeniem.

Czy prowokowała go swym bezruchem?

— Czy mogę zbliżyć się? — zapytał gorącym szeptem pełen niepokojów, tęsknot jakichś.

Nie odpowiedziała.

— To śmieszne może będzie w pani oczach, co powiem, Iwonko, ale muszę zwierzyć się właśnie pani. Doznaję takich dziwnych uczuć. To dlatego, że nie znam pani — a odnoszę wrażenie, że jest mi tak dobrze znajoma i bliska. Jesteś taka inna, Iwonko i nic o sobie nie chcesz mi powiedzieć.

Przerwał. Czuli, że tym co mówi pizede wszystkim ośmiesza się sam przed sobą. Cichutko usiadł przy niej i położył rękę na miękkiej czuprynce.

Nie zareagowała. Nie cofnęła się, jak zrobiłaby w takiej chwili każda inna kobieta i nie powiedziała z wymownym spojrzeniem zza rzes: — „Pan?” — Nawet nie drgnęła i nie powiedziała tłumionym, rwącym się przez wzruszenie głosem: — „Ach! Jak pan mnie przestraszył!”

Za uchylonego okna mrugały gwiazdki. Włosy Iwonki pachniały świeżością zerwanych kwiatów.

Żal mu było, że będzie farsą to — o czym myślał teraz... właśnie inaczej. Że narzucano mu rolę i będzie musiał grać ją do końca, a tak chciałby właśnie być sobą. Że dla dziewczyny nie jest nikim więcej niż każdy z brzegu przechodzień. Coż... piękny literat z którym traf (a może jej przebiegłość?) pozwolił przeżyć ciekawą przygodę.

W jej odchyleniu głowy na poręcz fotela było coś z dzieciennego bezwładu, czy całkowitego oddania się. Łuk podgiętych w górę rzes krył w zmrużonych oczach wyraz kokieterii, czujnego, drażniącego oczekiwania...

Nachylił się i ucałował jej usta. Były suche i chłodne. Nie oddały pieśczoły. Nie drgnęły, nie rozchyliły się. Były nieświadome złożonego na nich pocałunku. Głęboki, równomierny oddech dziewczyny upewnił go już ostatecznie, że spała. — Najprawdziwiej, ufnie, głęboko. Zasnęła znużona niewątpliwym wysiłkiem całodziennego pracy, widniejącym w szarym szerokim cieniu pod oczami, senna po wypitym wyborowym trunku, rozgrzana cieplem z kominka. Zasnęła, nie troszcząc się zgola o nieproszonego gościa, który zapłacił trzy setki za prawo obecności w jej ciasnym pokoiku. Tylko nieaktywnej obecności... robiącej jednak wiele kłopotów bo pozbawiającej ją możliwości wyciągnięcia się w wąskim, panińskim łóżeczku. Nie wiedział czy śmiać się, czy być wściekłym. Drwił z samego siebie, z intuicji, o której sądził, że nie zawiedzie go nigdy wobec żadnej kobiety... z problematyczności sądu jaki wydał był o Iwonce, ze swych wzruszeń, ze swoich nadziei — a najbardziej z niedającego się pokonać uczucia zawodu.

*Okrył nogi śpiącej ciepłym pledem, zdjął z maleńkich stóp podniszczony lakierki. Do rzucił do kominka polana i przykrył okno. Nie żegnał tak nigdy żadnej kobiety. Nie

myślał o żadnej z taką opiekuńczą serdecznością jak o złotowłosej Iwonce — gdy cicho przysmykał za sobą drzwi jej pokoiku.

Na schodach było ciemno. Schodził ostrożnie. Nie myślał zupełnie o sprawie Wichertów. Ale zmuszony był wrócić myślą do tej kwestii, gdy z framugi drzwi na pierwszym piętrze, ktoś rzucił mu w oczy snop światła z ręcznej latarki.

— A! Pan Bruno! Skąd pan schodzi u licha? Psiakrew, halucynacje, czy co?

— Pan wybacz... Nie rozumiem...

— Ja tym więcej. Jestem detektywem trzeciego rewiru — mignął policyjną odznaką na odchylonej klapie płaszcza.

— Aaaa, z polecenia pana Wicherta... Czekaliście na mnie...

— Czekalem, rzeczywiscie na pana. Ale, na Boga, według moich obliczeń z innych drzwi miał pan wyjść...

— Liche obliczenia, drogi panie. A jeżeli już tak bardzo interesuje pana moje życie prywatne, to muszę się zwierzyć, że mam przyjaciółkę piętro wyżej. Żegnam! — Niedbale dotknął dłonią runda kapelusza i non-szalancko poszedł naprzód.

„Świetnie, udało mi się sprawić tego nasłanego szpicla! Wyobrażam sobie jego minę jego zdumienie! A Wichert?”

Zastanowił się. Zawrócił.

— Drogi panie, żebyś pan nie był znowu tak bardzo uszkodzony, pozwolę sobie pana zaprosić na jutro... a, to znaczy na dziś, bo już po dwunastej, zaprosić na małe śniadanko do „Esplanady” na przykład. Chętnie się dowiem, jakie to są knowania przeciw mnie i jakie zastrzeżenia co do moich wieczornych wizyt. To ważne dla mnie, a pan wie wszystko. Przyjmuje pan moją propozycję?

Gdy przedstawili się sobie, wypalili papierosa i uzgodnili porę i miejsce spotkania wyszedł z bramy słysząc jeszcze za sobą słowa, oddalającego się w przeciwnym kierunku, pracownika policji:

— Tak się dać nabrać... tak się dać okpić...

Bruno nie kładł się już spać. Przesiedział tych parę godzin z papierosem w ustach i z upartą myślą o ostatniej swej przygodzie. Nie była z szeregu pospolitych. A już najciekawsza była jej bohaterka.

Co to jest za kobieta? Zagadka.

Dobrze, że przygoda nie jest jeszcze definitywnie skończona: rozmowa z detektywem, za kilka dni spotkanie z Ewelina — muszą dużo rzeczy wyjaśnić. Ale — coż to jest, żeby on sam kwestii z miejsca nie wyjaśnił, nie ustalił do jakiego gatunku kobiet zaliczyć małą Iwonkę? Oto problem.

Nie dalej jak wczoraj, skarżył się... zaraz gdzie to było, ach, w redakcji „Tygodnika”... że dla niego nie może zaistnieć żaden problem, że nic nie potrafi go zająć ani podniecić... Otóż właśnie ma taką zagadkę, ma wrażenia, ma przygodę. Musi wyjaśnić. Zanim jeszcze pomówi z detektywem Wiolińskim i zanim wreszcie będzie mógł uzyskać audiencję u Eweliny — ma najprostszą drogę do rozwiązania dylematu: Pójdzie znowu do Iwonki. Wie, gdzie mieszka. Nie ucieknie mu. Ale czy zechce sama coś o sobie powiedzieć? No to i tak będzie wiedział wszystko, choćby miał skorzystać z usług detektywa. Musi dociec, czym się zajmuje, w jakim środowisku się obraca, co o niej mówią.

Pójdzie do niej zaraz rano.

Nie mógł doczekać się godziny siódmej. Na pewno wstawała już tak wcześnie i wychodziła do pracy.

Zapyta jak się spało małemu śpioszki... Zamówi dla niej kwiaty w kwicciarń, gdy będzie przechodził. Ucieszy się, gdy jej przysła taki duży kosz... na przykład białych goździków. Anonimowo... Piękne kwiaty zapelnia pustkę mieszkania. Złagodzą jego surową prostotę i ubóstwo...

Był podniecony, gdy dzwonił do znanego mieszkania:

— Zastanę panią Merif?

Gospodyni spojrzała na niego jeszcze podejrzliwiej, niż wczoraj:

— Pyta pan o tę panią, która się wyprowadziła właśnie?...

— Wyprowadziła? Jako? Ta mała blondynka? Pani Merif?

— Pan myśli, że łatwo jest spamiętać nazwiska ludzi, którzy jednego dnia się wprowadzają a drugiego wyprowadzają?

— Pani będzie tak dobra wyjaśnić mi... Zależy mi na tym, szukam tej pani — wcisnął w rękę kobiety szeleszczący banknot.

— Nie dziwiłabym się, żeby nawet i policja szukała takich panien. Coż ja o niej mogę powiedzieć? Pan więcej wie, bo siedział u niej przez noc...

— Kiedy wynajęła pokój u pani? Jakiego podał nazwisko?

— Wprowadziła się wczoraj. Ja mam prosię pana zawsze dużo pokoi do odnajęcia, zawsze wszystkie zajęte, chwała sobie u mnie sublokatorce. No, ale ten jeden wolny był wczoraj. Przyszła ta pani wieczorem, bez pakunków, powiedziała, że rzeczy ze stacji jutro przywiezie, że nie ma gdzie mieszkać i bardzo jej zależy, żeby u mnie... Powiedziała, że formalności wypełni też na drugi dzień, do urzędu poda i wszystko. Zapłaciła z góry za cały miesiąc. U mnie niedrogo. Podała mi się z początku bardzo. Pojechała potem do miasta. Nakupiła delikatesów, nastawiała flaszek. To już coś podejrzanego. Mówię jej, że nie mam pościeli i na czym ona będzie spać? Ona mi na to, żebym płemem łóżko zakryła, bo nie będzie się dziś kładła spać i że się spodziewa wizyty... Rozumiał by pan co z tego...?

— No i co? Dalej wiem sam. Przyszedłem,

Gęśle i piosneeku

Siedla roz z wieczora
juhasko piosneeka
na gęślak z jawora,
cy tez haro ze smrecka —

i labiedzi glucho
śpiewocka podniebno,
ze... jej nik nie slucho,
widno — niepotrzebno!?!...

A gęśle jej na to:
„Wierzoj memu słowu —
niekno przyjdzie lato,
zakrólujem znowu!”

Cieszyć serca bedziem
o wszelkiej porze;
bo bez nas obojga
górol żyć nie moze!...

rozmawialiśmy... A rano...? Co było rano?
— Rano wstała o piątej. Przynosi mi resztki z tych przekąsek i mówi, że się rozmyśliła, że wyprowadza się i, że dobrze się stało, że zaraz wczoraj nie meldowała urzędowo... Ja jej na to, że u mnie czternaście dni naprzód się wymawia... A ona się śmieje, mówi, że zapłaciła za miesiąc i pieniądze nie zechce z powrotem. Fłaszki spakowała, poprosiła o gorącą herbatę i wyszła...
— Dawno temu?
— Może kwadrans...
— Jakto? I nie zostawiła adresu?... Jakiej kartki... Listu może dla mnie?...
— Nic mi nie zostawiła. Tylko w szufladzie stołu zostało kilka kartek papieru razem zwiniętych... Tak, są zapisane. Musiała włożyć tam i zapomnieć wziąć, bo spieszyła się rano i narzekala, że tak długo spała... Zaraz panu przyniosę...
— Podala mu rulon papierów. Z rozłaganieciem włożył w kieszeń marynarki.
— Pan jej to odda?
— Tak... Będziemy się widzieć, to od dam... A czy ta pani nie mówiła, dlaczego zmieniła zamiar...? Tak po jednym dniu?...
— Nic nie mówiła. Ja jej się pytam, po co na jeden dzień jej było tego pokoju, a kosztowało tak drogo, bo jakby za cały miesiąc?... A na to ona się śmieje: „— opłaciło się... bardzo się opłaciło... Interes zrobiłam na tym wszystkim —” To wszystko...
Bruno nie rozumiał. Specjalnie dla ratowania jego i Eweliny odnajmywać pokój...? Chyba, że Ewelina sama tak zarządziła, posłużyła się tą małą... No tak! Musiała jej dobrze zapłacić... I jeszcze jego trzy setki... Wcale nie protestowała, gdy na komo- dzie znalazła więcej, niż jej zapowiedział, że zostawi... I jak skrzętnie banknoty scho- wała! Nawet nie zauważył kiedy i gdzie...
Musiała zarobić sporo, kiedy nawet zwie- rzała się z tego gospodyni... Nowa możli- wość zarobku dla uroczych pań: Wybawiać pary kochanków z nastawionej sieci mężow- skiej zazdrości... Dobrze, że zasnęła i nie widziała jego wzruszeń i jego... śmiesznej, groteskowej pomyłki! Z jaką dumą i odrzą pokazywała mu drzwi!... Bo on opłacił przecież tylko przywilej siedzenia w fotelu, w jej pokoju i patrzenia jak smacznie i spo- kojnie zasypia jego towarzyska. Niczego więcej nie powinien był się spodziewać...
...Spekulanka... najbardziej wyrachowa- na z wyrachowanych... Czuł niesmak. Ile zapłaciła jej Ewelina? Jeżeli była tak samo bezsensownie hojna, jak on, to ta sprytna

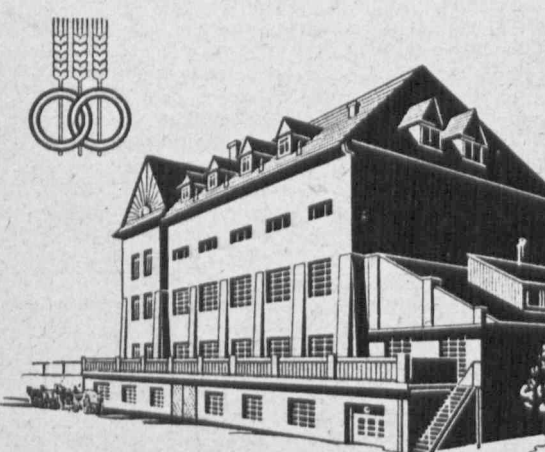
mała kpić sobie z nich musi... Jakże drogo okupili swoją czasową niekaralność wobec opinii i moralności!...
Przechodząc koło automatu telefonicznego tknęło go coś, by zadzwonić do Eweliny. Nie- mądre polecenie, by nie komunikować się! Czy właśnie Karol Wichert musi podejść do telefonu? Aparat stoł w pokoju Eweliny a mieszkają przecież oddzielnie... Czyż musi przez aparat przedstawiać się całym imieniem i nazwiskiem?... W razie nieja- sności sytuacji zawsze da się zmienionym głosem wyjaśnić, że pomyłka, że przełączono inny numer...
Głos Eweliny usłyszał prawie zaraz, choć była godzina siódma rano i dzwonek zbudził ją musiał ze snu.
— Ewe, tu Brunon. Karol jest? Czy można swobodnie mówić?
— Nie ma Karola. Przecież wiesz, że dziś wróci dopiero w południe. Cemu nie przy- szedłeś? Ciebie nie było, natomiast mnie bez- bronną napadają we własnym domu jacyś pijacy...
— Jakto?! Twój mąż jednak wyjechał wczoraj?
— Nie udawaj naiwnego. Przecież wiesz, że inspekcje w Myślenicach... Bruno, czy ty jesteś może pijany? Nie przychodzisz, choć wyraźnie umawiasz się na 8-mą, dzwo- nisz o świcie, mówisz od rzeczy...
— Nie... nie jestem pijany... Słyszałem na mieście, że wczoraj miał niejechać... zresztą ostrzegając, więc nie przyszedłem... Słuchaj Ewelinko, bo wielu rzeczy nie rozu- miem... powiedz mi, czy nie pisałaś wczoraj do mnie listu i nie poleciłaś podać mi go przez osobę trzecią?
— Listu? Jaki list? Przecież rozmawiałam z tobą telefonicznie o siódmej wieczorem. Wszystko zostało umówione, że przyjdiesz, jak zwykle. Po co miałabym pisać? Co za nie- jasności, Bruno?...
— Ewelino... Tak, niejasności... Może zresztą jestem pijany. Później ci wyjaśnię — przedkładał słuchawkę, bo nie miał wcale ochoty opowiadać Ewelinie dziejów tej nocy.
...Jeżeli Ewelina nie pisała i nie ostrze- gała...? a przecież jednak zaangażowany przez Wicherta detektyw czekał na schodach... I skąd pani Iwonka Meriś w tej ca- łej historii?...
Cała jego teza o Iwonce wzięła w łeb. Od razu.
Nie działała z polecenia Wichertowej. Zna- ła jednak doskonale życie i zwyczaje tej

pani. Nawet sposób pisania listów do nie- go... które zresztą nie trudno było podro- bić...
Kaprystki Iwonki? Ochota na prze- życia ze sławnym człowiekiem?
Przypomniał sobie dziecienną twarz śpią- cej...
Nie, nie można zrozumieć z tego nic... Więc nie wyrachowanie... bo Ewelina nie finansowała nic, a on mógł również nie wy- ciągać tak zaraz portfetu!...
Choć z drugiej strony... cieszyła się za- robkiem przed gospodynią... i zostawione przez niego pieniądze wzięła chętnie!...
...I w tym się pomylił: Chcąc zapłacić za rozmowę telefoniczną poszukał drobnych w kieszeni palta. Zaszeleściły jakieś zwinięte papierki. Trzy papierowe stużółki wci- śnięte w kieszeń płaszcza... gdzie nigdy nie wkładał żadnych banknotów... To wypro- wadziło go już ostatecznie z równowagi... Zagadkowy uśmiech małej Iwonki wydał mu się jeszcze więcej niezrozumiały...
Oddała całą kwotę sprytnie, ukradkiem do kieszeni jego płaszcza. Wisiał w korytarzu, a ona tam wychodziła...
A nie oponowała, gdy tak niedelikatnie, po chłopsku otwierał portfel... Jakże mu- siała się czuć dotknięta, gdy zauważyła na komo- dzie potrójną sumę... Do licha! Jeżeli zaiste nie była w porozumieniu z Ewelina, to znaczy, że ona sama fundowała mu kolację i trunki w specjalnie na to odnajętym na tę jedną noc mieszkaniu! Na Boga — po co? Żeby mieć satysfakcję zaśnieć w jego obec- ności?...!?

jej palcach ślady atramentu, lub ołówek mię- dzy innymi przyborami w torebce. To, że z Ewelina musiała czasem porozumiewać się pisemnie, męczyło go i drażniło. Chaos z na- tury już małowartościowych myśli, niepowiąza- nych w zdania, zupełny brak znaków pisar- skich i niekoniecznie prawidłowa ortogra- fia — raziły jego oko literata, estety.
Jeżeli ta jasnowłosa kobieta zasłaniać się chce przed nim pisaną literą, ułożonymi sta- rennemi frazesami, jeżeli chce zrobić na nim wrażenie zgrabnie postawionym wielokrop- kiem, czy wykrzyknikiem — Bruno zrazi się do niej momentalnie.
Żadna kobieta nie napisała nigdy nic mą- drego — chyba, że przepisała myśl cudzą i efektownie postawiła pod tym swoje imię... U kobiety pisanie przechodzi w manię, w psychozę. Nie ma nic wstrętniejszego, jak sprowokować kobietę do bronięcia się, czy dokonywania zemsty przez pisanie. Jeżeli nie wierysz temu, co kobieta mówi — jakże możesz wierzyć temu, co napisze — — — co przemysli, wymedytuje w ten sposób, żeby wyglądało właśnie tak, tuszowało co innego, a upozorowało, co trzeba, żeby mistrzowsko omamilo, oczarowało, zasugerowało — — — a przede wszystkim, żeby było w miarę nie- jasne, niedopowiedziane, tajemnicze, żeby było jeszcze jednym dowodem na to, że ko- bieta jest nieodgadniona, nieprzeciętna, nad- zwyczajna...
...Iwonka zostawiła więc, jak zawsze każda z nich: wspomnienie i „ślady pisane”. Może wzruszający list? Może cały pamiętnik?
Rozwinął papiery. Były to używane w urzę- dach arkusze przebitkowe. Zapelnione drob- nym, maszynowym pismem, z mnóstwem uzu- pełnień, adnotacji, i wstawek robionych wy- raźnym i przejrzystym pismem kobiecym. Pismo to ciągnęło się przez dalsze stronicę, gdy skończył się maszynopis. Ostatnie zda- nie było nieskończone, atrament zamazany, jakby w pośpiechu ręka zwinęła papiery nie pozwalając mu obesznać.
Spojrzał na tytuł: „Psychika wielkich ludzi”...
Zaklął. Iwonka (przecież to pismo mogło być tylko Iwonki!) nie tylko, że uległa także manii pisania, co jest nie do uniknięcia przy niektórych typach kobiet — ale ponad- to — o zgrozo — uśluje pisać rzeczy nau- kowe, ba! Psychologiczne!

Ciąg dalszy nastąpi

DREWNIKI sznurowce, sandały, spody artystyczne poleca Firma „Szczepko-Tońko“ Kraków, Hala Targowa 22.	Dr. ST. ŚWIĄTECKI Wener. skórno godz. 18-1 i 4-7 Warszawa, Mazowiecka 11 m. 5 tel. 2-74-99	Dr. J. MORZYCKI Laboratorium analityczne wszelkie analizy lekarskie godz. 8-19 Warszawa, Sienkiewicza 11 m. 5 tel. 2-74-99	Dr. M. BIERNACKA choroby włosów, skóry, kosmetyka lekarska. Warszawa, Sienkiewicza 11 m. 5 tel. 2-74-99	Dr. Zofia Kołsut Chor. kob. akusz. WARSZAWA, Koszykowa 19-8 tel. 961-48 godz. 5-7	POŁOŻNA R. Prusinowska, Warszawa, No- wogrodzka 31, m. 20, front, róg Marszałkowskiej, telefon 950-75. Przyjmuje obecnie cały dzień.	Akuszka M. WÓJCİK Warszawa Żłota 8 m. 6 tel. 64-824	Dr. Prochacki Wener. skórno Warszawa Krak. Przedm. 40 godz. 4-7	KOŁDRI POŚCIEL-PRZERÓBK Warszawa, Marszałkowska 119 DAŁKOWSKI
	Dr. ST. ZIELIŃSKI Wener. skórno i skór. Warszawa, Marszałkowska 11 m. 5 telefon 8-19-31 godz. 9-12 i 4-7	Chirurg Dr. med. S. BOGUSZEWSKI Złoty, wczoraj. oper. Warszawa, Sienkiewicza 7 m. 1. tel. 953-91 godz. 3-5	DR. ST. KRAJEWSKI Wener. i skórno Warszawa Al. Jerozolimskie 23/10 godz. 4-7 tel. 907-33	Dr. JERZY SZULTZ Kob. Akusz. Chir. Warszawa, Skorupki 8 m. 6 tel. 899-63 godz. 3-6	Dr. med. W. Wójcik Choroby oczu Warszawa Mazowiecka 11 m. 5 godz. 12-1, i 3-4 tel. 274-99	Dr. Jerzy Surkont Chor. kob. i akusz. Warszawa Żurawia 35 m. 7 tel. 977-29 godz. 10-19	KURSY TECHNICZNE inż. Gajew- skiego, Warszawa, Przemysła 11a Kurs techniczny, krawiecki, słuchowy lub korespondencyjny. Kurs technicz- ny. Wydział: maszynowy, budowlany, drogowy.	



100000
Spółdzielnia
w Generalnym Gubernatorstwie
stoi w służbie
zabezpieczenia
wyżywienia ludności

UWAGA W najbliższym czasie kończy się reklamowy okres tanich portretów. Nadeślij fotografie, opis zmian i 10 zł zadatku a otrzymasz portret próbny za dopłatą 20 zł „FOTO-UNIVERSUM”, Warszawa, Śniadeckich 3		Dr. R. TCHÓRZŃSKI Wener. skórno i skór. Warszawa Marszałkowska 95 m. 22 telefon 74-555 godz. 12-14:30 i 16-19	3-mies. Korespondencyjne Kursa Nowoczesnej Księgowości z szczególnym uwzględnieniem księgowości przebitkowej wg. obow. jednolitego planu kont, księgowości rolniczej, administracyjnej prowadzi Publ. Kupiecka Szkoła Zawodowa w Reichshof (Rzeszów). Zgłoszenia: Sekretariat Szkoły, ul. Hoffmannowej 3, tel. 16-43. Dla absolwentów świadectwa. Na żądanie bezpłatnie szczegółowe prospekty.
Akuszka ANTOSZEWSKA przyjmuje cały dzień Warszawa, Żłota 40 m. 30 tel. 672-90	Dr. med. J. EHRENKREUTZ skór. i wener. skórno Warszawa Nowy-Swiat 37 m. 11	KORESPONDENCYJNIE Niemiecki dla zaawanso- wanych. Budowa zdań. (Skrypty, ćwiczenia do odslapiania) Warszawa, Germanista Alpaw, Senatorska 22 m. 24	W domu obok codziennych zajęć odpowiadając na pyta- nia można przerobić Szkołę Handlową i otrzymać świa- dectwo ukończenia o peł- nych prawach. Zapisy przy- jmuje i prospekty wysyła: Sekretariat Korespondencyj- nej Szkoły Handlowej przy Publ. Kup. Zawodowej Szkole w Reichshof, Hoffmanowej 3.
Tanio sprzedajemy wszelką garderobę, futra, lisy srebrne, niebieskie pelerynki, blamy, pościel, bieliznę, dy- wany, kilimy, chodniki, tino- leum, obrazy, walizki, łeczki, maszyny „Singer”, maszyny pisarskie, paterony walizkowe, elektryczne, płyty, nakrycia sto- lowe, przedmioty ze srebra, pla- terowe, porcelanę, szkło, kry- ształy, fotoaparaty, przedmioty domowego użytku. Duży wybór okolicznościowych praktycznych upominków „Centrokomis” Kraków, Grodzka 9		MEBLE lakierowane, kuchenne, dziecięce, przedpokojowe, oraz wszelkie pokojowe poleca A. LASZKO Warszawa, Chłodna 46, m. 5 tel. 323-95 Uwaga: drzwi na lewo!	NAJTAŃSZY PORTRET z każdej fotografii. Nadeślij fotografię i 10 zł otrzymasz za pobraniem pocztowym 30 zł portret próbny. Pracownia Artystycznych Portretów „MIMOZA” Warszawa, Nowogrodzka 19 m. 24
		RYBAK Największy skład hurtowy i wytwórnia przyborów do rybactwa „RYBAK” JERZY GORZKOWSKI Warszawa, Pierackiego 17 tel. 690-93 wysyła za zaliczeniem: węziska, kolowrotki, haczyki, żyłki, błyski, muszki sztuczne, sieci i t. p. Naj- większy wybór. Ceny fabryczne. Conniki na żądanie.	

ALTRA DR. A. WANDER S.A. KRAKÓW. DO NABYCIA W APTEKACH I DROGERIACH
CENA: 20 DRAŻETEK ŻŁ. 240-NR-REJ-1873

ROŚLINNY ŚRODEK
NIEZAWODNIE
I BEZBOLEŚNIE

Wzeczyszcza

Ona jedna potrafiła przejść przez kolonię suchą nogą, droga i domki tonęły przeważnie zawsze w błocie.

Kolonia huty żelaza znajdowała się w pobliżu fabryki i była oddzielona od huty tylko wielkim wałem szlaki. Szlaki ta, w stanie jeszcze rozżarzonym, często rudo oświećlała wieczorem kolonię. Dostosy wysocki i rozwickly pagórek oddzielał zabudowania huty od miasteczka. Ponieważ kolonia leżała u stóp tego pagórka po stronie północnej, osiedle to i w dnie słoneczne przedstawiało się ponuro i szaro. Domki wszystkie były jednakowo zbudowane i odróżnić można je było tylko według zagrod, tu starannie utrzymanych, tam znów nieuporządkowanych i niechlujnych.

Jak różne były zagrody, tak różni byli i mieszkańcy tego szarego świata i tych napozór jednakowych domków. Byli to ludzie pracy z całym swoim prozaicznym realizmem, który tylko tu i tam kobięca ręka starała się upiększyć.

Alinka była jasnym promykiem szarej kolonii. Mieszkała w małym pokoiku na poddaszu, w jednym z tych małych domków, i jej okienko pełne kwiatów upiększało na zewnątrz ten szary domek. Była krawcową. Znała ją w kolonii i miasteczku jako „pannę Alinkę”. Dwudziestodwuletnia szczupła blondyneczka, średniego wzrostu o dużych niebieskich oczach, fruwała po prostu po brudnej kolonii, jak motyl, szukający kwiatu, na którym mógłby spocząć.

Pomimo, że Alinka swoim zewnętrznym wyglądem tak mało nadawała się do tego otoczenia, jednak głęboko zapuściła korzenie w tym gruncie. Matka jej, wdowa po urzędniku technicznym, przeniosła się z małą pensyjną wdową z domów urzędniczych do kolonii i tam umarła na gruźlicę. Czternastoletnią dziewczynkę przygarnęła liściowie sąsiadka, lecz gdy skończył się okres nauki szkolnej Alinka poszła do krawcowej. Wydoskonaliła się w swoim zawodzie tak dobrze, że i panie inżynierowe były jej klientkami. Nie przeniosła się do miasta, jak jej doradzano, lubiła bowiem tę szarą kolonię, tych ludzi pracy, którzy, pomimo życzliwości, często z niej pokpiwali. Jedni zastanawiali się nad romantycznością biednej krawcowej, drudzy do końca twierdzili, że Alinka jest zapewne dobrą dziewczynką, lecz jej skłonność do kłamstwa nasuwała przypuszczenie, że coś w jej pięknej główce nie jest w porządku.

Kłamstwa panny Alinki były rzeczywiście osobliwego rodzaju. — Raz uszyła Haneczce, córce biednej robotnicy, prześliczną sukienkę do pierwszej Komunii św. Matka nie miała czym zapłacić i Alinka nie nalegała na zapłatę. Kiedy po jakimś czasie robotnica przyniosła jej kilkadziesiąt groszy na poczet zaległości, Alinka oświadczyła jej, że nie trzeba przynosić reszty, bo pani inżynierowa już zapłaciła. Kiedy wdowa poszła podziękować mniemanej dobrodziejce, wtedy zdziwiona pani oświadczyła, że o tym nic nie wie. Oczywiście, że Alinka od nikogo żadnej zapłaty nie otrzymała. Innym razem uszyła małemu bobaskowi biednej posługaczki sukienkę, twierdząc, że zostało jej materiału. Jednak byli ludzie, którzy widzieli, że krawcowa kupowała na targu tę małą resztkę.

Innym dziwactwem nieszkodliwym był u Alinki „głód kwiatów”. Co niedzielę po południu znosiła sobie naręcze polnych kwiatów i zdobiła pokój buketami. Kiedy ludzie śmiali się z niej, twierdziła, że to dzieci znoszą jej te kwiaty.

JEJ OSTATNIE KLAMSTWO

NAPISAŁA M. SKOTNICOWA

Pomimo tych dziwactw była jednak ozdobą kolonii i niejednego urzędnika kochał się w niej. Ona nie przejmowała się swoim powodzeniem i unikała adoratorów.

Była wiosna i w olsznych zakwitły fiołki. Poszła więc Alinka w niedzielę po południu zbierać kwiaty i tam spotkała Franka. Był on także sierotą i spełniał funkcje nadzorca w hucie. Życzliwe sąsiadki tłumaczyły dziewczynie, że może zrobić karierę, o ile będzie mądra. Lecz Alina mądra nie była. — Była wiosna i kwitły fiołki.

Minęła wiosna, minęło lato, przekwitły kwiaty. Mróz tylko na szybach małego okienka malował dziwaczne drzewa i palmy. Proste robotnice szeptały sobie na ucho, że Alinka wydaje sporo, zarobionych nocą nad zyciem pieniędzy na kwiaty kupowane przez nią w kwieciarni w miasteczku. Stały te kwiaty w różnych flakonikach na stole i komodzie w czystym pokoiku na poddaszu, a sąsiadki przychodziły z ciekawości podziwiać je. Alinka ze szczęśliwym uśmiechem oświadczała, że kwiaty te przynosił jej Franek.

Młody nadzorca ośmieszony został tymi niewinnymi kłamstwami. Kto to widział w kolonii, żeby kawaler przynosił pannie kwiaty! Nosiło się ciastka, likier, ale kwiaty — przecież on nie jest lowelase, a ona nie aktorką...

Alinka na swe usprawiedliwienie miała tylko te słowa: „Co ci te moje kłamstwa szkodzą? Niech sobie ludzie gadają. To, że sobie sama kupuję kwiaty, jest moją rzeczą, jestem jednak pewna, że przyjdzie czas, kiedy ty sam mi je kupisz i przyniesiesz — to jest takie ładne.”

Franek oburzył się tymi słowami i raz oświadczył, że już ma dosyć tego i że on dla jej anielskich oczu nie da się ośmieszać. Począł jej unikać i zaczął ostentacyjnie zalecać się do rudej Zosi.

I znów była wiosna i kwitnęły fiołki. — Pachniały te fiołki i w pokoiku na poddaszu.

Była wiosna i zbliżały się święta wielkanocne. Wszędzie sprzątano, bielono domy, i porządkowano zagrody. Także i młoda krawcowa przewróciła swój zawsze czysty pokój „świętą stroną do góry”, jak mówią ludzie pracy. Upiekła u sąsiadki bułeczkę i trochę ciastek, pomalowała przepięknie kilka jajek. W wielką sobotę kupiła w kwieciarni przecudną, różową azalię. Na te wszystkie wspaniałości przychodziły się patrzeć sąsiadki. Alinka spoglądała błyszczącymi oczami na kwiat i gaskała owiniętą bibułką doniczkę. Chwaliła się przed sąsiadkami, że te azalie kupił jej Franek i że po Zmartwychwstaniu przybędzie do niej.

Ploteckizi kursowały więc w kolonii i doszły do słuchu rudej Zosi, która urządziła Frankowi piekło. Po sumie w Niedzielę Wielkanocną wysłała go, by się rozprawił z tą „wariatką”.

Kiedy Franek wszedł do pokoju, Alinka stała przy małym stoliku, na którym ogrzewała sobie obiad na spirytusowej maszynce. Franka uderzył czysty wygląd pokoju, piękne makaty na ścianach i kwiaty, jak również wprost anielski urok

tej złotowłosej dziewczynki, która patrzyła na niego z radosnym wyrazem niebieskich oczu.

— Jak mogło nam być razem dobrze, żeby nie te jej dziwactwa — pomyślał z żalem i ogarnęła go jakaś dzika złość na widok kwitnącej azalii. Chciał się rzucić na doniczkę z kwiatem, by rozbić ją na drobne kawałki. Alinka odgadła jednak jego myśli i porwała kwiat. Wtedy on, zaślepiony wściekłością, porwał za najbliższy przedmiot — za rączkę od spirytusowej maszynki. Rondelek zesunął się na podłogę, Franek zaś pełną prawie i palącą się maszynkę rzucił w kierunku dziewczyny i wybiegł z pokoju.

Ugaszono ogień na Alince i ułożono nieprzytomną do łóżka. Lekarz oświadczył, że rany od poparzenia są zbyt ciężkie i nie ma ratunku, lecz chora odzyskała jeszcze przytomność przed śmiercią. I kiedy szeroko rozwartymi od bólesci, niebieskimi oczami spojrzała na siedzącą obok łóżka kobietę, wtedy ta wybuchnęła płaczem i rozpaczliwie krzyknęła:

— Już tego mordercę Franka aresztowali, nie wypierał się, tylko mówił, że nie pamięta czym na ciebie rzucił, anioleczku.

— Jezus, Maria! — krzyknęła Alinka i zamyśliła się. Po chwili krzyknęła znów:

— Prędko, droga pani Burkowa, prędko biegnijcie po świadków. Franek nie rzucił we mnie maszynką. Chciał porwać doniczkę, lecz usunęłam ją, więc rzucił rondelkiem, chciałam ten rondel podnieść i wtedy zaczęłam rękawem za maszynkę, zrzuciłam ją i oblałam się palącym spirytusem. Prędko, moja droga po świadków i spisać moje zeznania, a potem księdzka...

Pogodne Wielkanocne popołudnie chyliło się już ku zachodowi, kiedy sam ks. proboszcz spowiadał Alinkę. Świadkowie pospieszyli do miasta, by uwolnić Franka, reszta mieszkańców kolonii stała w pobliżu domku, lub czekali na korytarzu. Ludzie się rozstępowali. Powolnym zmęczonym krokiem nadchodził Franek. Błady na twarzy i z wielkim bukiem czerwonych goździków w ręce. Kobiety szeptały sobie na ucho:

— Może ona nie kłamała i on jej te kwiaty nosił? — była przecież taką dobrą dziewczynką... — i popłakały się kobiecinki.

W sieni zetknął się Franek z odchodzącym proboszczem. Przeraził się, lecz czcigodny dusz pasterz przystąpił do niego i rzekł:

— Czekaj na ciebie — ona ci przebaczyła i przebaczy ci także dobrotliwy Bóg...

— Alinko...

— Franku — ach daj mi te cudne kwiaty — tak, — dziękuję. Widzisz, sam mi je przyniosłeś, jak ci to mówiłam...

— Ach Alinko, za późno cię zrozumiałem.

— Więc zrozumiałeś — moje ostatnie kłamstwo — jak to dobrze. Nie jest za późno Franku, tak jest ładniej. Później umarłabym na gruźlicę. Zrozumiałeś i będziesz znów nosić kwiaty na mogile — przyjdzie znów Zmartwychwstanie i będzie tak wzniośle, tak pięknie...

Jej ręka zlodowiała w ciepłej dłoni Franka i opadła ta druga, co tuliła delikatnie kwiaty do siebie. Kwiaty rozsypały się po koldrze.

OT TAKA MAŁA SIELANKA

NAPISAŁ BROTYCZ

Codziennie spotykali się na jednym miejscu. Ona, choć już liczyła osiemnaście wiosen, pasła gęsi, a on, karczował zrab leśny opodal.

Co dnia wsłuchiwał się w jej głos srebrzysty co szedł pieśnią po rosie i ginął echem w ścianach pobliskiego boru. Choć ciągle byli razem, nigdy nie spojrzal wprost na nią. Nie patrzył, chociaż ją nosił w myślach i sercu, wyrzeźbioną na kształt świętej z ołtarzyka. Ukradkiem tylko, gdy stadko swoje zganiała admirałował jej złote spłoty, którymi, gdy biegła przez łąkę, wiatr igrał swawolnie. Zająty znojną swą pracą, rad był bardzo, że jest przy nim, że mu śpiewała, a głos rozlegał się po polu. A gdy oddalała się bodaj na chwilę od jego miejsca karczunku, choć nie rzekł ni słowa, był markotny i zły. Mścił się wtedy na opornych pniakach, wymierzając straszliwe ciosy siekierą, a oczami szukał Jagny czy nie wraca.

A gdy już szła ku niemu, udawał, że jej nie widzi, choć serce chciało wyskoczyć z radości.

Dziwnym człowiekiem był ten zeznojony chłop, co mu ból życia i zawody bruzdami poznały czoło, a wichry halne osmoliły lica. A że był czarny i stale chmurny zwano go we wsi „cyganem”. Kochał on Jagnę karczunkę, nigdy jej o tym ni słówkiem nie mówiąc. Bo i po co? ... Wyśmiejcie, wydrwił go, a nic tak bardzo nie boli jak bezlitosny, drwiący śmiech.

Więc dalej karczował, a świadomość, że Jagna nadejdzie, że znów ją ujrzy przy sobie, że z nią pogwarzy, zadawała go i to mu wystarczyło... musiało wystarczyć. Niał tylko żył.

Gdy szła ku niemu roześmiana, ta jego wiosna co dnia poranku i zagadnęła go wesoło, było mu tak miodnie na duszy, że wstrzymać nie miał siły, by na nią nie spojrzeć choć przez sekund kilka. A gdy niespodzianie oczy ich czasem spotkały się z sobą, chociaż w książkach czytał nie uczony, serce go czytało uczyło w jej oczach. Dobrze im było tak razem. Jagna lubiła cygana, bo jej nijakiej nie czynił krzywdy, ni o miłośności głupich gadał. Bywało, gdy na deszcz południe, zeznojony odrzucił siekierę precz od siebie, usiadł przy dziewczynie, dzielił się z nią chlebem, i skibkę sera dorzucił. Zerkał wtedy na nią ukradkiem, nie nie mówiąc, jak urzeczony. I tylko w myślach prawił jej:

— Takaś ty moja! Takaś miłusienka, gołąbko przejaśna! Tak jakoś biegły im te słoneczne dni przez życie. Cygan słówkiem nie wspominał, że Jagnę ukochał, że mu się okrutnie podoba, a Jagna? ... też o tym nie wiedziała, bo i skądże? ... Kiedy on zawsze patrzył spode łba, jak bryś, nieprzymierzając.

Sobota. Słońce kładło się zlocistymi snopy na zielonej murawie i zeszło na głowę dziewczyny jasną aureolą. Cygan oparty na stylisku siekiery chciał coś przemówić, ale gdy ujrzał Jagnę oświeconą słońcem, zaczęty rozhovor zastępył mu na ustach, bo mu się zdało, że to nie ona, ale święta jakaś siedzi. Zapadła cisza taka, że zda się słyszeć było szmer przedży Matki Bożej, co od boru leciała pasmem srebrnym. Jagna wyla sobie z kwiecia leśnego wianeczki, nic nie wiedząc, że w tym słonku spławiona taka cudnabyła.

— Haj! ... cóżecie tak naraz oniemieli? — spytała, podnosząc zdziwione oczu na cygana. — Czy wam mowę odebrało? Tak dziwnie patrzycie, że choć nie boję się was, to mi tak jakoś...

— Eh! głupia! nie na ciebie, ale na słońce patrzyłem, że

się tak czerwono skryło za las — odburknął zły, że go Jagna przylapała; i jął się dalej karczunku, odwróciwszy się do Jagny plecami. Cygan niecierpiał soboty, bo w ten dzień wracała Jagna już przed wieczorem do domu, więc mu się cniło bez niej, i robota szła ospale.

Więc przemówił: — Hej, niedługo już odleciś stąd jak ptaszyna do swojego gniazda, a mnie jeszcze z godzinę przebyć tu trzeba — a w duszy dodał: bez ciebie, kochanie!

Zal się jej jakoś zrobiło na sercu, że go zostawi samego na zrebie więc rzekła:

— Gdybym udoliła, to bym wam pomogła, i prała toporem korzenie, ale cóż, nie mam takiej mocy jak wy, a i matuś mnie czeka w chacie.

A jemu na te słowa, jakby słońce zajaśniało w duszy i choć nie umiał się tak wypowiedzieć jakby serce chciało, więc tylko oczami miłośnie dziękował za jej dobre chęci. Uśmiechnięty, co mu się rzadko trafiało, machnął ręką tylko i wyszeptał:

— Nie warto! nie warto dla mnie zostawać, szkoda ci czasu maleńka! ... idź do domu.

Wstała Jagna, wianuszkami przystroiła główkę, spędziła rozbiegane gęsi, a kiwnąwszy głową, rzuciła mu „dobranoc”, na odchodnym.

Zapadła cisza, przerywana tylko szumem pobliskiego boru i śpiewem Jagny echem ginącym w oddali. Osamotniony cygan usiadł na pniu i patrzył długo w jasną sylwetkę dziewczyny, aż mu przepadła na zakręcie drogi. Cisza, tylko od wiosny szedł po wieczornej rosie dźwięk dzwonu na „Anioł Pański”.

Cygan westchnął, plunął w garść i jął się ciężkiej pracy karczunku, ciesząc się nadzieją, że w poniedziałek znów zobaczy dziewczynę i będą razem.

Tak biegły dnie i tygodnie. Karczunek kończył się już na tej polaci zrabu, więc się troskał Cygan, że następny teren pracy znajdujący się po drugiej stronie lasu, uniemożliwi mu widywanie się z Jagną.

Karczunku nie mógł porzucić, bo jeść trzeba przecież, a dobrze była płatna ta praca. Medytował więc, jakby to zrobić, jak wymędrkować, ażeby znówu byli razem. Toteż przez kilka dni nie wiele nawet odzywał się do Jagny, a tylko zerkał na nią ukradkiem i przemysłował. Dziewczyna, że nic nie gadał, nie wiele teraz troszczyła się o to, a wzięwszy książeczkę z krasnymi obrazkami, usiadła pod krzakiem tarniny i czytała.

Markotny był cygan na owo czytanie ciągle. Już chciał podejść, coś rzec, ale nie wiedział jak zacząć to, co sobie wykalkulował w myślach.

Aż go wreszcie jakaś moc poderwała. Więc cisnął siekierę i wolnym, niepewnym krokiem przystąpiwszy do zacytanej, pokornie przemawiać począł:

— Słyszysz ty, Jagna! cóż będzie z nami?

— A cóż niby ma być? — spytała nie odwracając oczu od czytanki.

— Widzisz ... karczunek w sobotę na tej części już kończę.

— Hano, wiem, pójdziecie potem na drugi zrab za las.

— Tak ... właśnie ... no ... no to i razem już chyba nie będziemy, jak tutaj — wyrzekł nieśmiało.

— O, wielkie nieszczęście! cóż to, musimy to być zawsze razem na jednym placu?

— Prawda ... ale ... słuchaj, Jaguś, nie będzie ci markotno za mną? co? — spytał błędząc oczami po ziemi.

— Markotno? — zdziwiona spojrzała na niego.

— No nie ... myślałem tak, że ... — tu westchnął cygan przestępując z nogi na nogę — że gdybyś tak chciała, to byłibyśmy zawsze ze sobą przez dzień długi i noc całą.

— Jakże to myślicie? ... „zawsze ze sobą”.

— Żebyśmy ... no ... żebyśmy ... — tu głos zamarł mu w gardle, zaniemówił na chwilę.

— Nuże! wystękać raz! o co wam chodzi?

Cygan na to wezwanie, drgnął cały w sobie i zdecydowanym już głosem przemówił: — No, żebyśmy pobrali się Jaguś! — Jednym tchem wypowiedział to, co mu od tygodnia ciążyło na duszy ołowiem.

— Co takiego? — aż się zerwała dziewczyna. I ujawszy się pod boki zakrzykla:

— Pobrali? ... my? Ha, ha, ha, — wybuchła śmiechem głośnym, aż go las dwukrotnym echem powtórzył beztłonie. — O toście coś mądrego wymyślił! ha, ha, ha, ciego! jaki dowcipny! Szkoda was dla mnie Cyganie! Nie dla psa kielbasa! bywajcie zdrowi!

To rzekłszy odwróciła się od biedaka na pięcie, i pobiegła za swoim stadkiem, co się rozbiegło białą plamą po trawie.

Choć jeszcze było słonko daleko do zachodu, spędziła szybko gęsi z pastwiska i nie spojrzawszy nawet na Cygana śpiesznie ruszyła do domu.

Opuszczony, wyśmiany nieszczęśnik, stał długo jak przykuty, wodząc mętym wzrokiem po wyrwionych korzeniach jakby szukał tam wyjaśnienia, czy pomocy. Nie miał mocy ruszyć się z miejsca, ni siły, by pogonić za dziewczyną i bodaj przemocą zatrzymać ją przy sobie. Odeszła ... został sam. Zdało mu się, że wiatrem kołysane świerki, szumią smutno nad jego dolą. Ze słonko z żalu nad nim skryło się za chmury, i ptactwo przycichło w krzewach.

Bezradny usiadł na pniaku, skrył głowę w dłonie, i zagłębił w swym nieutulonym frasnku, zalił się w swej duszy, że już nigdy więcej nie będzie miał Jagny przy pracy, że nie zobaczy słoneczka swojego, co go witało co dnia poranku.

Sam zostanie na świecie. Zapomniany, opuszczony, taki... niczyj.

Zmierzył bral z wolna ziemię w swe posiadanie, gdy ocięzłym ruchem podniósł się z siedzenia. Spojrzał raz jeszcze na ścieżkę, którą odeszła Jagna, pożegnał łączkę gdzie gęsi pasła. Serdecznie żał chwycił go za grdykę kleszczami. Machnął ręką i strapiiony opuścił miejsce, gdzie mu tak dobrze było.

Jakoś w trzy niedziele potem, obchodziła Jagna swoje zrekowiny z urodziwym, i bogatym, Stachem Gwizdakiem. Tańczyła w karczmie jak oszalała, przechodząc z rąk do rąk śmiałych parobczaków.

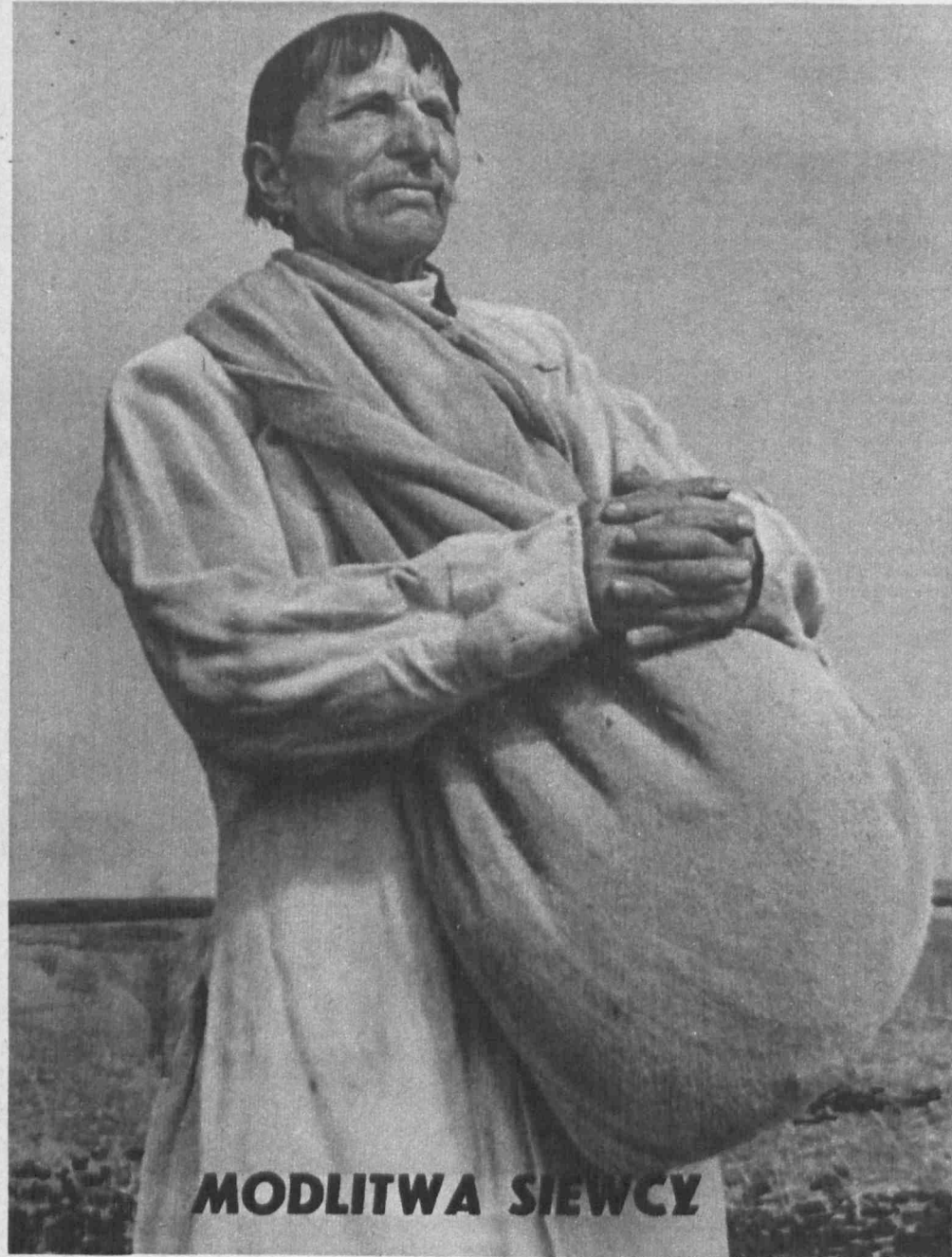
A w poniedziałek o świcie, gdy mgły poranne opadły na wody, wyłowili rybacy zwłoki nieszczęsnego Cygana.

Ot, taka mała sielanka.

„BLOGOSŁAWIENSTWO ZIEMI”

(K. Hamsuna)

Przyjść w dziką, skalną pustkę
jąć się rączej pracy — i budować, karczować, orać,
siać i młócić —
nad fiordami wywiesić w wichrach białą chustkę,
czekać żony nieznaną, w bólu się nie smucić...
— A potem — stać się glazem, stać się ziemią bryłą
być — jak drzewo, jak skiba, jak mądrość przyrody!
I żyć długo, żyć chlebnie swoją żytnią siłą —
i co rok się odradzać, jak wiosenne wody...



MODLITWA SIEWCY

O Stworzycielu, utajon w błękitach!
dzisiaj mnie dopuszczasz do spójni najświętszej:
każesz mi ręką rzucić nowe życie
w ziemię mych ojców — oto pustą jeszcze...

Więc najpokorniej biorę wolę Twoją!
(pod ziarn uciskiem serce wali dzwonem...)
w Twoim Imię zacznę pracę moją znojną!
Daj święty rozmach mi posłusznym dłoniom!

Przedemną pola bezkresne dla oczu:
cisza — pod którą szumi Twoja wielkość!
w tej szarej ziemi jasne ziarna spoczną
by wrócić w słońce jako chlebne źdźbélko...

— a moje ręce Twój cud będą głosić!
a moje serce odczuje go pierwsze! —
zatem, nasz Ojciec w niebie!, śmiem Cię prosić:
— ja się ziarnem, a Ty posiej szczęściem!!

i gdy rozrzuć ramiona (siejące...)
— jakbyś mnie rozpiął na krzyżu zbawienia —
niech spłynie łaska Twoja deszczem i słońcem!!
Ojciec! tak wielu... wielu... — chleba nie ma!

M. A. Hessel

SPADKOBIERCY

NAPISAŁ: HAZET

Du, du, du — du, du, du — dudniła ziemia
sypana łopata przez grabarza. Zamarznięte
na kamień grudy odbijały się z hałasem od
wieka trumny. Odskakowały i staczały się
niżej i niżej do grobu.

A w trumnie leży na wieki wieków uwię-
zione chorobą zwiłki bednarza Walentego
Kruka.

Już to naciępił się on, naciępił zanim
ducha wyzionął. Wrzody go toczyły. Ropie-
ce obrzydliwe rany otwierały mu się po ca-
łym ciele, więc bandażował je jako tako
brudnymi szmatami. Chorował, chorował, aż
w końcu ulitował się pan Bóg nad mizera-
kiem i powołał go do swej chwały.

Trudno. Wcześniej czy później, a każdemu
tak jest pisane.

Ludzie stłoczeni „na gapia” przy grobie —
gdyż mało kto dbał o nieboszczyka — zaczęli
się zwolna rozchodzić. Słychać było szuranie
nogami. Chrzaskanie. Pokaszliwanie. Przytu-
pywanie, gdyż mróz był siarczasty.

Mężczyźni śpiesznie nakładali czapki i na-
suwali je głęboko na zmarznięte uszy. A ko-
biety otulały się szczelnie w wełniane chu-
sty i ciężko wzdychały.

Wzdychały — ot tak sobie — nie z żalości
po zmarłym, jeno z przyzwyczajenia, z po-
trzeby zamarkowania w ten sposób swego
udziału w nieszczęściu.

Albo ma się litosierne serce, albo się nie
ma.

Za furtą cmentarną języki poszły w ruch.
— Gruby grosz musiał on chyba ostawić
— mówiono. — Krewniaki jego dobrze się
po nim obłowili. Chłopisko harował bez cale
życia jak ten wół, a nikt nigdy go w karcz-
mie nie widział. Skąpy był też nad podziw.
Na buty sobie żałował. W słomianych łap-
ciach chadzał. Nawet się nie ożenił z obawy
wydatków. Kutwa i juści...

I cichutko, cichutko szeptało sobie na
ucho:

— Ponoć ostatnimi czasy wdawał się z ta-
kimi...

I nie kończono zdania.

No, nie wiadomo jak tam było. Łacno po-
sądzić uczciwego człowieka. Może się wda-
wał, a może nie wdawał. Sekretnik był z nie-
go nie byle jaki. W każdym bądź razie krewni-
acy jego spodziewali się po nim dużych
pieniędzy.

Oczów jeszcze nie zamknął, gdy jego cio-
teczny brat, Stanisław, wodził niecierpliwie
wzrokiem po kątach izby. Wypatrywał scho-
wanka. Świdrował ślepiami na prawo, na
lewo, przed siebie, za siebie, ale nie śmiał
szukać. Tchórz. Bał się braci, żeby go nie
pobili, a dobrze miarkował, że dwie jego
bratowe nie spuszczały go z oka.

— Un je najchytreszy — szeptały, trą-
cając się łokciami — to jeszcze gotów zna-
leźć i łapę na wszystkim położyć. Razem na-
leży szukać, żeby nikt tutaj krzywdy nie
miał.

Razem to razem. Trudno. Stanisław musiał
się zgodzić, więc jak tylko Walenty zamknął
oczy na wieki, zabrano się do szukania.

Przetrzęgnięto całutką izbę. Obmacywano
łachy. Przesuwano sprzęty. Odstawiano szaf-
liki i garnki. Zaglądano do chlebowego pie-
ca. Wylażono na górkę... W końcu wy-
wleczono siennik spod nieboszczyka i wszy-
scy po kolei łapy do środka wsadzali i długo
w słomie grzebali.

Ani, ani. Rozstąp się ziemio. Pieniądzy
nigdzie nie było.

— To niemożliwe! — wściekali się zawie-
dzeni spadkobiercy. — Pieniądzy muszą się
znaleźć...

Nikt się nie pościł. Zaczęli znowu szukać
i nie dawali za wygrane.

Po powrocie z pogrzebu, z nową energią,
zaczęto szperać wszędzie. Schodzono do karto-
flanego dołu. Opukiwano ściany chałupy,
gdy oto nagle jedna z kobiet złapała się za
głowę i wykrzyknęła:

— O rety! Ależ głupi z nas ludzie. Już
wiem gdzie są pieniądze. Stary sknera za-
brał je ze sobą do grobu. Już wiem, że są

u niego na nodze. Są pod bandażem, cośmy
pozostawiły nietkniętym przy ubieraniu
ciała...

— Rzeczywiście — potwierdziła natych-
miast druga kobieta. — Gdzie miałyśmy głó-
wę? Nawet dobrze pamiętam, że cośiś mi
pod palcami szeleściło...

— A żeby was jasne pierony — zakleli
mężczyźni.

No i przestano szukać. Nikt już nie wą-
pił, że pieniądze są pod bandażem i leżą
sobie najspokojniej w trumnie na nodze
zmarłego.

Okropność.

Radzono i radzono. Gęby się nie zamy-
kały aż do późnego wieczoru, a najwięcej
lamentowały niewiasty, że to czuły się winne.

Wreszcie zabrał głos najstarszy z braci,
Michał.

— Nic innego nam nie pozostaje — mó-
wił — jak napisać podanie do władzy. Wy-
luzścić co, jak, a uzyskać się pozwolenie na
rozkopanie grobu.

Ale drugi brat zaoponował, wzruszając
pogardliwie ramionami.

— Ot, głupie gadanie — mruknął pod no-
sem. — Stare chłopisko, a ruszył dowcipem,
jak cięć ogonem. Przecież wiadomo, że taka
prośba to nieraz całymi miesiącami wala się
po biurkach urzędów i najczęściej przepada.
A nie przypadnie i doczekasz się w końcu
żądanego pozwolenia, to też ładnie będziesz
wyglądał. Rozkopiesz grób — jak ten du-
reń — otworzysz trumnę, a tu zgnilizna i ro-
bactwo swoje zrobiły i stoczyły pieniądze
na proch...

Co robić?

Wprawdzie wszyscy, ile ich było, już do-
brze wiedzieli co należałoby zrobić, ale nikt
nie śmiał brać na siebie odpowiedzialności
i wyrwać się z niedozwolonej propozycji.

W końcu ten tchórz Stanisław wziął na
odwagę i tak powiedział.

— Dobrze miarkuję co macie na myśli.
Otóż powiem wam bracia, róbcie sobie jak
sami chcecie, ale ja ręce od wszystkiego umy-
wam i brać na siebie nie będę takiej odpo-
wiedzialności. Wiadomo. Który z was pra-
gnie zgnić w kryminalu, to mu nie bronię.
Niechaj bierze łopata i idzie tam gdzie nie
trza. Ale ostrzegam, że za samowolne naru-
szenie grobu zbyt duża jest kara.

— Ot i już stchórzyl — odezwała się po-
gardliwie jedna z bratowych.

— Co nie miałem — przyznawał się cynicz-
nie Stanisław i braciom doradzał żeby i oni
stchórzili. — Lepiej pożegnać się na zawsze
z pieniędzmi, niż porywać się na to czego
nie wolno.

Wkrótce potem wszyscy pokładli się spać.
Okolo drugiej w nocy Stanisław powstał
cichutko ze swego barłogu, naciągnął buty,
sukmanę, wyszukał łopata w sionkach i ru-
szył w stronę cmentarza.

— Nie głupim dzielić się z braćmi — roz-
myślał po drodze.

Księżyc wzeszedł. Ostatnia kwadra. Nikły
sierp wypłynął na niebo i oświecał swym
zielonkawym blaskiem majaczące w oddali
drzewa i krzyże cmentarne.

Brrr. Nieprzyjemnie. Dreszcze chodzący
tchórzowi po plecach. Miał ochotę nawrócić,
ale łapczywość wzięła górę nad strachem.
Pchnął furtę cmentarną, odszukał świeżo
usypianą mogiłę i zabrał się do roboty.

A ciężka to była praca. Mróz ścisnął zie-
mię na granit, na bryłę lodu.

Kopał i kopał. Kopał i kopał. Pot ciurkiem
z niego leciał, ale na nic nie zważał jeno
kopał dalej. W końcu ukazała się trumna,
więc dobył resztek sił, odkopał, podważył
wieko łopata i zabrał się do bandażu.

Daremny trud. W bandażu pieniędzy nie
było.

— A żebyś z piekła nie wyrwał — zaklął
siarczysie Stanisław, zatrzaskał z furii wie-
ko trumny i chciał z grobu wyskoczyć.

Ale, w tej samej chwili, nieboszczyk Wa-
lenty przytrzymał go za sukmanę.

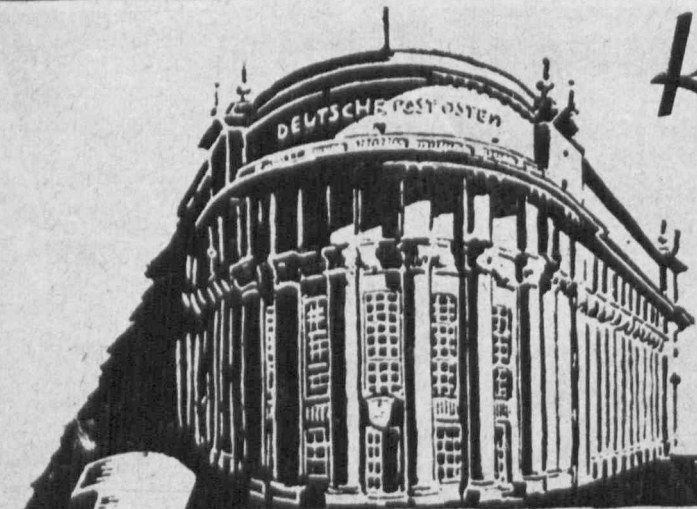
Z przerażenia tchórz stracił przytomność.

Nazajutrz około południa grabarz znalazł
go martwym w rozkopanym grobie.

Zamarł na śmierć.

A połam sukmanę miał przyszczypaną wie-
kiem trumny.

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Poczłowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900



Korzystaj

Z OBROTU CZEKOWEGO

i OSZCZĘDNOŚCIOWEGO

NIEMIECKIEJ POCZTY W SCHODU



— Jest mi naprawdę przykro, panie Jacykowski, że wcześniej nam nie przyszło na myśl pana zaprosić na ojca chrzestnego dla naszego Józia. Ale może w przyszłości pan nam tego zaszczytu nie odmówi?
— O, łaskawa pani, dla mojej przyjemności, niech pani sobie wcale nie zadaje tego trudu!

Das Illustrierte Blatt

KĄCIK SZACHOWY NR 9

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

PRAWIDŁA GRY

§ 4) O wykonywaniu posunięć

Posunięcia uważa się za wykonane:

- I. przy posunięciu bierki z jednego pola na drugie — gdy ręka gracza puściła bierkę,
- II. przy biciu — gdy bierka, która ma być zabita, została zdjęta z szachownicy i gdy ręka gracza puściła własną bierkę,
- III. przy roszadzie — gdy ręka gracza puściła wieżę,
- IV. przy dorabianiu figury — gdy grający postawił na danym polu wybraną przez siebie figurę.

§ 5) O poprawianiu bierek na polach

- I. Grający może poprawić jedną lub kilka własnych bierek na ich polach pod warunkiem, że uprzedzi o tym swego partnera. Zazwyczaj używa się wówczas wyrażenia: poprawiam (J'adoube).
- II. Nie wolno poprawiać bierki partnera, który jednak jest obowiązany do poprawienia na żądanie gracza swych bierek na szachownicy.
- III. Jeżeli bierki zostały przypadkowo rozrzucone, należy niezwłocznie zatrzymać zegary (o ile partia była grana z zegarem szachowym) i ustawić bierki we właściwej pozycji pod nadzorem kierownika turnieju. Jeżeli podczas dalszej gry lub po ukończeniu partii okazało się, że pozycja została odtworzona mylnie, należy wznowić grę, rozpoczynając od pozycji właściwej.

§ 6) O bierce dotkniętej

- I. Jeżeli grający dotknie:
 - I. jedną ze swoich bierek — winien zrobić nią posunięcie,
 - II. bierki przeciwnika — winien ją zabić,
 - III. bierki własnej i bierki przeciwnika — winien dotknąć bierkę własną zabić bierkę przeciwnika.
- W razie, gdy bicie jest niemożliwe, przeciwnik może żądać, aby partner zrobił posunięcie dotkniętą bierką, bądź też aby zabił przypadkowo jedną z własnych bierek dotkniętą bierką strony przeciwniej. Grającemu, który się omylił, przysługuje prawo wyboru bierki, która ma dokonać bicia.
- Gdy żadne z posunięć, wymienionych pod I., II. i III. nie może być wykonane zgodnie z przepisami, omyłka nie pociąga za sobą kary.
- IV. Kilka własnych bierek — przeciwnik ma prawo oznaczyć bierkę, którą trzeba zrobić posunięcie.
- Jeżeli przepisy gry nie pozwalają na zrobienie posunięcia żadną z dotkniętych bierek, dotknięcie pozostaje bez następstw.
- V. Kilka bierek przeciwnika — musi zabić bierkę, którą mu przeciwnik wskaże.
- Jeżeli przepisy nie pozwalają na zabicie żadnej z tych bierek, dotknięcie pozostaje bez następstw.

§ 7) O nieprawidłowych posunięciach

- I. Jeżeli jeden z partnerów zrobi nieprawidłowe posunięcie i jeżeli przeciwnik zauważy to przed dotknięciem swojej bierki dla odpowiedzi, posunięcie nieprawidłowe powinno być cofnięte, po czym należy postąpić w następujący sposób:
 - I. w wypadku, gdy nie chodzi o bicie bierki, grający, który popełnił błąd, winien zagrać w sposób prawidłowy tą samą bierką. Jeżeli bierka ta nie może zrobić przepisowego ruchu, błąd pozostaje bez następstw;
 - II. w wypadku bicia bierki grający winien według uznania przeciwnika albo zabić bierkę w sposób przepisowy, albo też zrobić inne prawidłowe posunięcie dotkniętą bierką własną. Jeżeli ani jedno, ani drugie nie jest możliwe, błąd pozostaje bez następstw;
 - III. jeżeli nieprawidłowe posunięcie zostało umieszczone w kopercie i błąd nie może być sprostowany z zupełną pewnością przez kierownika zawodów, partię należy uznać za przegraną dla sprawcy błędu;
 - IV. jeżeli w ciągu partii zostało ustalone, że zrobiono nieprawidłowe posunięcie i błąd nie poprawiono, należy przywrócić pozycję, która się wytworzyła bezpośrednio przed popełnieniem błędu i wznowić grę od tej pozycji. Jeżeli pozycja ta nie może być odtworzona, partię unieważnia się.

CZĘŚĆ OGÓLNA

Studium Nr. 4.

A. O. Herbstmann (1936).

Czarne: Kd6, Wd4, Sg4, pionki: a5, f6, h4 (6).

Białe: Kf1, pionki: f2, h6 (3).

Białe zaczynają i remisują.

Rozwiązanie problemu Nr. 3 (Hillbricht): 1. H—b6 (grozi G—f5) S—f6 2. G—a2! i 3×.

Partia Nr. 7

Białe: N. N. Czarne: G. Torre
grana w Meksyku w r. 1929.
Obrona Caro-Kann.

1. e2—e4 c7—c6
2. d2—d4 d7—d5
3. Sb1—c3 d5×e4
4. Sc3×e4 Sg8—f6
5. Se4—g3 h7—h5
6. Gc1—g5? 1) h5—h4
7. Gg5×f6 h4×g3!
8. Gf6—e5 Wh8×h2!
9. Wh1×h2 Hd8—a5+
10. c2—c3 Ha5×e5+!
11. d4×e5 g3×h2!
- Białe poddały się.
- 1) 6. h4!

Partia Nr. 8

Białe: Z. Weiß Czarne: Kupak
grana w turn. w Jugosławii w r. 1928.
Hiszpańska.

1. e2—e4 e7—e5
2. Sg1—f3 Sb8—c6
3. Gf1—b3 d7—d6
4. d2—d4 Gc8—d7
5. 0—0 e5×d4? 1)
6. Sf3×d4 Sc6×d4
7. Gb5×d7+ Hd8×d7
8. Hd1×d4 Sg8—f6
9. Wf1—e1 Gf8—e7
10. e4—e5 d6×e5
11. Hd4×e5 0—0?
12. He5×e7 Wa8—e8
13. He7—b4 Sf6—g4
14. h2—h3? 2) Hd7—d6!
15. We1×e8 Wf8×e8
- Białe poddały się.
- 1) 5... G—e7!
- 2) 14. g3!

ŚWIAT SIĘ

Sekretarka do szefa:

— Zatelefonowałam już do pańskiej żony, że ma pan dziś dużo zajęcia i dopiero późnym wieczorem będzie mógł do domu powrócić.

Szef: — I co ona na to?

Sekretarka: — Upewniła się tylko, czy może na tym zupełnie polegać, co jej powiedziałam?

— Ach kiedyż nareszcie kupisz mi nowy kapelusz?

— W przyszłym tygodniu, duszko, w przyszłym tygodniu.

— Ależ w ubiegłym tygodniu mówiłeś to samo.

— A widzisz, że ja mego zdania nigdy nie zmieniam.

Małżeństwo jest podobne do oblezionej fortecy: oblegający pragną wejść do niej, obleżeni uciekać.

Bogaty finansista:

— Patrz pan ta zbroja, to pozostałość po moim pradziadku.

Gość: — Nie wiedziałem, że pański pradziadek handlował starym żelazem.

Zapalony sportowiec jest ciężko chory.

— Siostró, jaką jest dzisiaj moja temperatura? — zapytuje pielęgniarkę.

— 40,8 — panie Julianie.

— Faktycznie? A ile wynosi rekord światowy?

— Co ja słyszę, pan sobie buduje nowy dom!

— A czy pan kiedy słyszał, żeby kto sobie stary dom budował?

— Przyszłaś się Stasiu, czy ty nie podglądasz przypadkiem przez dziurkę od klucza, gdy ja i twoja siostra siedzimy sami w pokoju?

— Bardzo rzadko, proszę pana, tylko wtedy kiedy mama nie patrzy.

Gospodyni: — Cemu postawił pan herbatę na krześle?

Gość: — Jest taka słaba, iż czułem, że należy jej zaofiarować krzesło.

— Kelner, niech pan zabierze ten befsztyk i dobrane go jeszcze przypiecz.

— Pan dobrodzieju go przecież zamówił na pół surowo.

— Tak, ale on jest tak surowy, że słyszał jak rzy.

Janek i Zosia szli jesienią przez park. Zosia czekała z utęsknieniem na czułe słowa swego towarzysza, ale Janek tylko się krzywił od czasu do czasu. Wreszcie przemówił:

— Panno Zosiu, chciałbym panią o coś zapytać szczerze.

Zosia cała zamieniła się w słuch: — Ze mną może pan mówić całkiem szczerze o wszystkim — odrzekła. Janek westchnął i zapytał:

— Czy nie zna pani jakiego środka na nagwiatki?

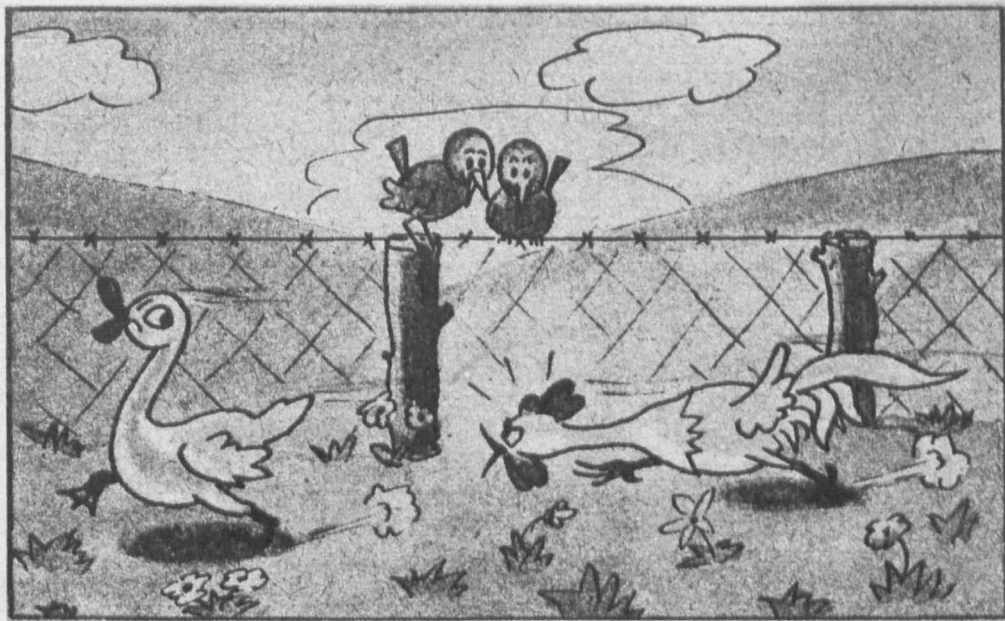
— Czy uważa mnie pani za pijaka?

— Nic podobnego, ale gdybym była butelką wódki, to bym nie chciała zostać z panem sam na sam w pokoju.

— Nie rozumiem pana wcale, wciąż mi opowiadasz o swojej wielkiej dla mnie miłości a jak słyszę żenisz się ze swą kochanką.

— To tylko dlatego, by z nią nareszcie raz zerwać i to przy pomocy rozvodu.

ŚMIEJE



Wróble między sobą:

— Czy sądzisz, że ten kogut naprawdę ma taki krótki wzrok?

— Nie, raczej przypuszczam, że to wiosenne powieże tak bardzo mu uderzyło do głowy.

Wiener Illustrierte

Tadeusz podziwia bardzo pierścionek, który nosi na palcu znajomy lekarz.

— Przepiękny jest ten pana pierścionek z brylantem — zwraca się wreszcie do lekarza — czy to pamiątka rodzinna?

— Nie, to prezent jednej z moich pacjentek — mówi z dumą młody lekarz.

— Acha, więc pewnie otrzymał pan to w spadku — stwierdza złośliwie Tadeusz.



WŚRÓD BANDYTÓW

— Psiakrew! Przez głośne chrapanie tego jego mościa staję się nerwowym i nie mogę spokojnie wykonywać moich czynności...

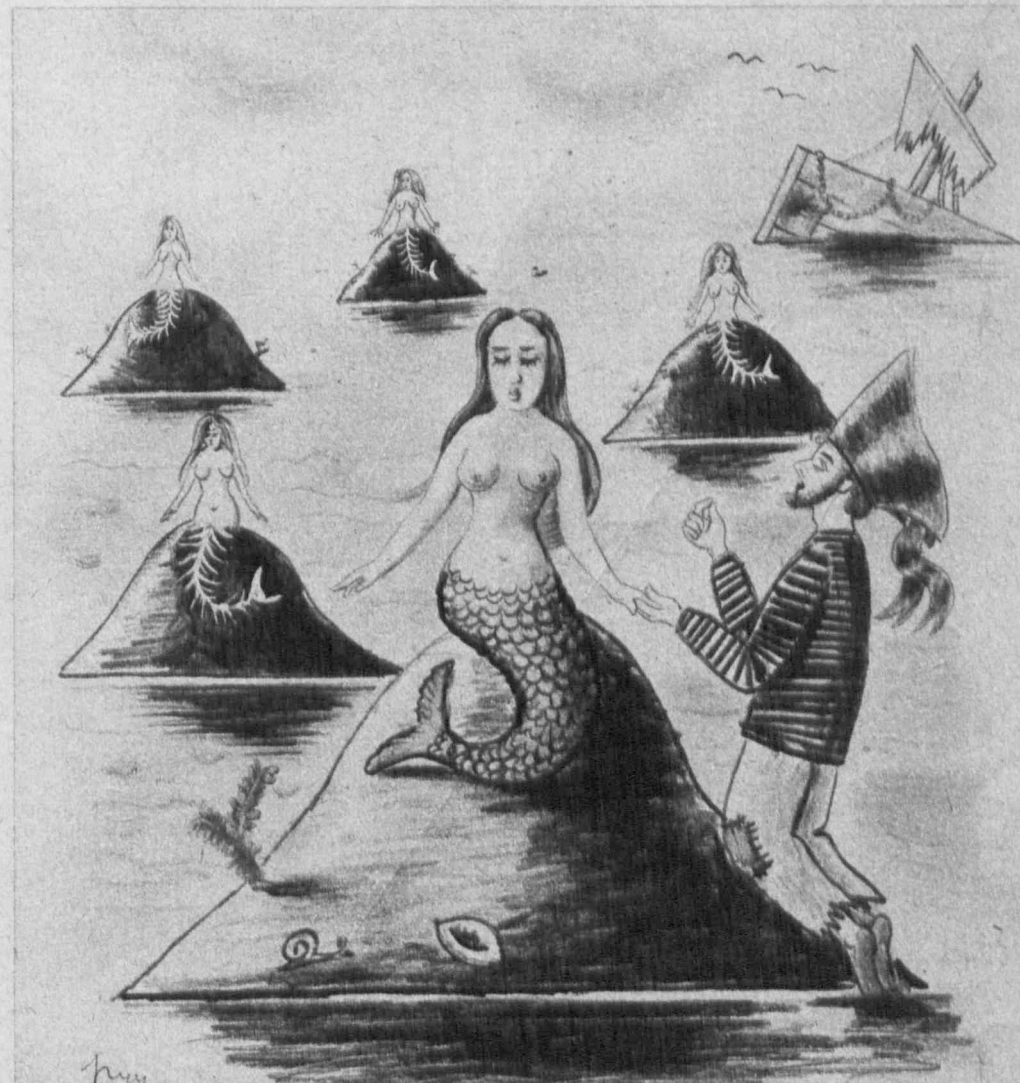
Rys. Gebürsch

Wojciech zbiera grzyby w lesie.

— Czy potraficie odróżnić trujące grzyby od jadalnych — zapytuje go jeden z drwali, pracujących w lesie.

— Nie, ale ja nie zbieram ich dla siebie do jedzenia, tylko na sprzedaż.

KĄCIK KARYKATURZYSTY



Zaradny rozbitek morski zalecając się do piątej z kolei syreny — powiedział: — Ty jesteś najpiękniejszą na całym archipelagu!...

Rys. J. Paluch — Kraków

Z pączka do kwiatu

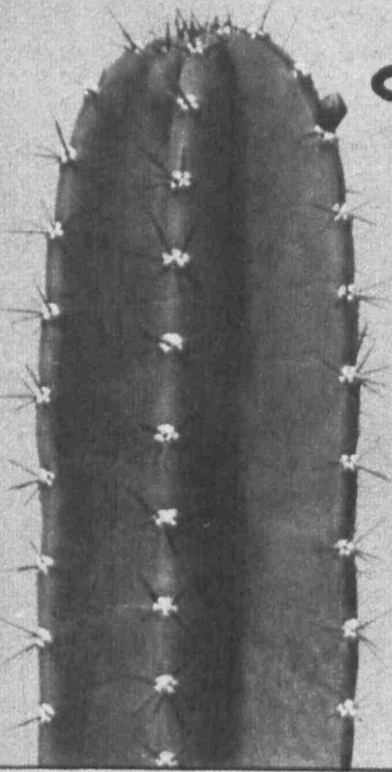
Powolutenku, niedostrzegalnie zupełnie, rósł sobie kaktuszek peruwiański zwany „maczugą” od kształtu właśnie maczugę przypominającego, aż nareszcie w dziesiątym roku swego życia „spowaźniał”, to znaczy nabral cech statecznej dojrzałości, osiągnął „wzrost” około 180 cm i... zaczął szczególnie interesować swego właściciela. Bo oto któregoś dnia letniego powstawać zaczęła mała nabrzmiała opodał grupki kółców na maczugę, zaokrągliła się niebawem, a doświadczony hodowca „wyczuł” przez skórę, że tyloletnie jego zabiegi pielęgnacyjne miały zostać uwiecznione dobrze zasłużoną nagrodą. Kaktus-Maczugę chciał koniecznie po raz pierwszy zakwi-tnąć! Nabrzmiała stawała się coraz większą, grubszą, była zaciekawiająca, zastanawiająca, imponująca na koniec! Gdy osiągnęła kształt dość dużej kulki, poczęły się teraz dzieć osobliwe rzeczy... Kulka niby przygarbiła się nieco, następnie jakby opadła cośkolwiek, po czym ją się wydłużać najwyraźniej! W miejscu wydłużonej jakby kieszki zjawiała się gruszkowata opuchlina, a ta gwałtownie znowu poczęła przybierać na prze-strzennosci. Nie był to atoli jeszcze kres arcyptomysłowych metamorfoz kaktusa-maczugę. Gruszkowato-walcowa bania zwęziła się raptownie na jednym z końców w rodzaj pokaźnej szypułki, na

drugim zaś ją się wyraźnie odznaczać kolor ciemno-brązowy z głęboko-zielonymi cieniami biegnącymi ku szypułce. Myślałby ktoś, że tak wytworzony pączek, lada chwila rozwinie się. Tymczasem kaktus dalej dręczył hodowcę. Zielen z końca pączka znikła powoli, bladło też brunatne zabarwienie „kitki”, a na miejscu ustępują-cych kolorów przegładnęła niezdęcydowa-na biel, rozszerzająca się wolno ku szypułce. Jeszcze kilka dni biała barwa pączka nabierała nienagannej czystości alabastru, aż nagle jakby zmatowiała. I oto na sekundy nieledwie można

było liczyć odtąd sam przebieg rozkwitania. Od leciuteńkiego ni-by nadpęknięcie pączka do pełnego rozwiniecia się wspomnianego kwiatu nie minęło więcej nad 15-cie minut! Na tym dziw kwitnienia kaktusa peruwiańskiego zakończył się.

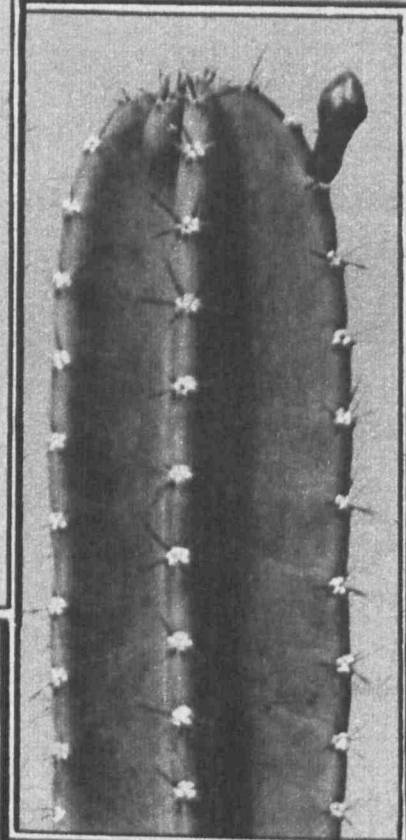
W jasnej bieli kwiatowego kielicha tkwił słupek, wychylając się z długimi precj-kami z płatków ko-rony. Szkoda, że kaktusy tak krótko bar-dzo stoją w krasie swego kwiecia. Maczugę spod peruwiań-skiego nieba tak rzadko do tego rozkwita... Lat dziesięć, to szmat czasu i doł! Ale prawa natury są ponad wola i pragnieniami istot żywych, dla któ-rych nieraz pierwszy rozblask bywa zara-zem i ostatnim...

Fot: Dr. Schmidt-Schaumburg



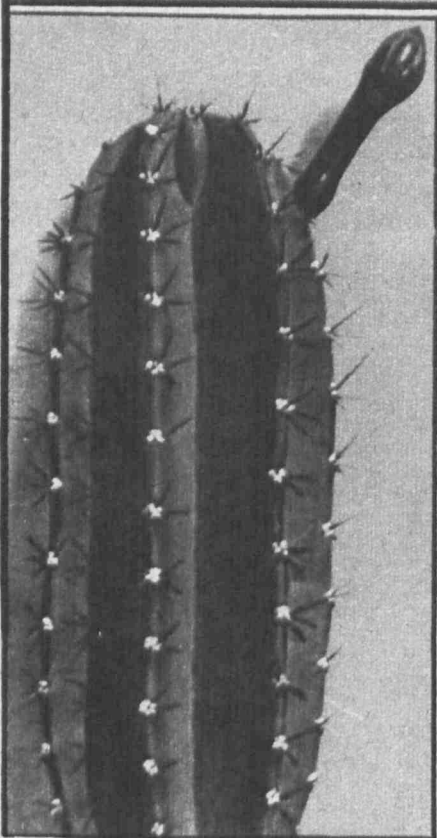
Powyżej i na prawo:

Powoli rozwija się pączek i z dnia na dzień staje się większy ku uciesze właściciela.



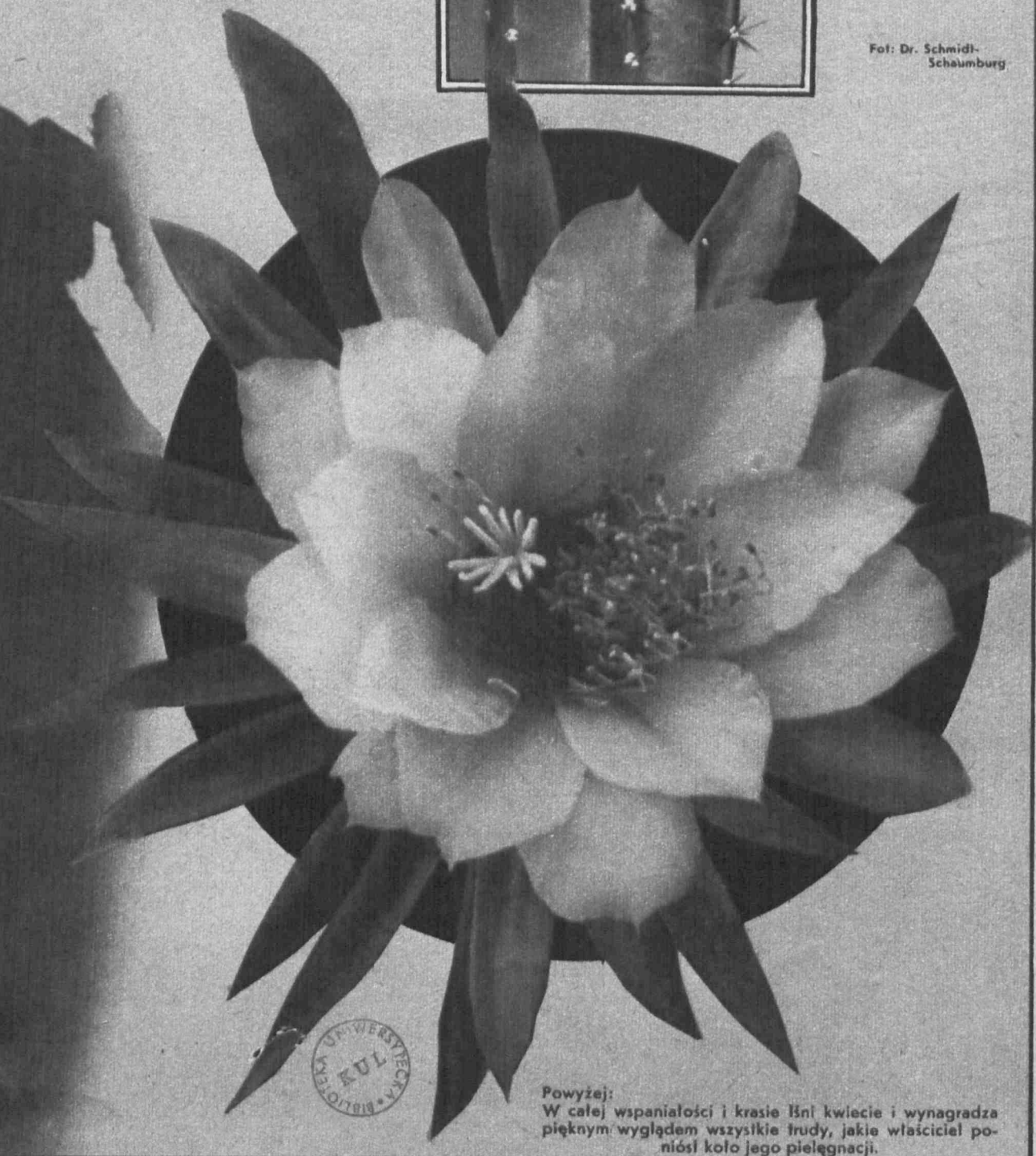
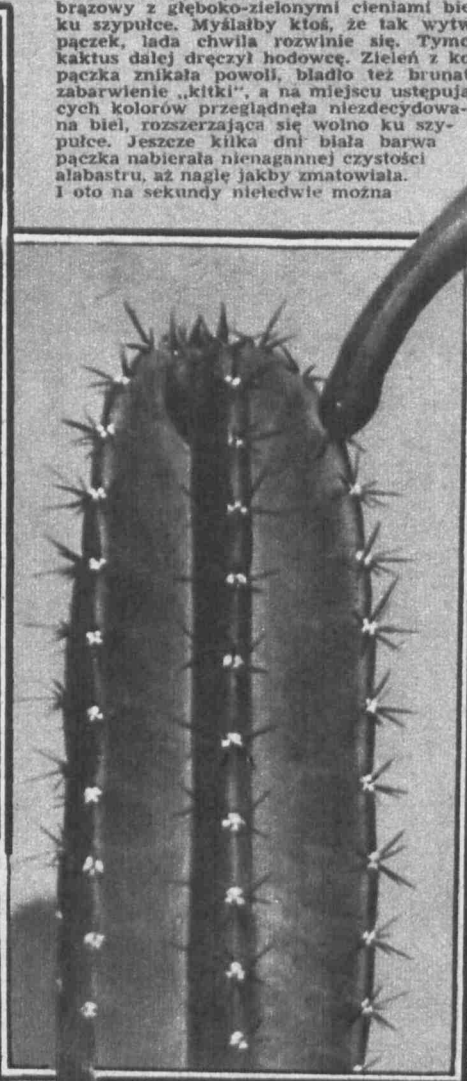
Na lewo:

Z dużym zainteresowa-niem obserwuje miło-snik kaktusów roz-kwitanie kwiatu, który już po kwa-dransie osiągnie pełnię swego rozwoju.



Powyżej i na prawo:

Powoli otwiera się kielich kwiatu. Listek po listeczku odchyła się zwolna, aż w końcu załśni kwiat w całym swym uroku.



Powyżej:

W całej wspaniałości i krasie łśni kwiecie i wynagradza pięknym wyglądem wszystkie trudy, jakie właściciel po-niósł koło jego pielęgnacji.

